

Paradoksy remontowo-budowlane ● Doskonalenie nauczycieli — propozycje rozwiązań ● Jak wypożyczają pedagodzy ● O przedszkolach — bez retuszu ● Komu powierzyć ten kram? ● Listy czytelników.

Co z podręcznikami w nowym roku? — pytamy dyrektora WSiP ● Przedszkola w czynie społecznym — tak, ale nie samopas ● Z raportu o warunkach życia pracowników nauki ● Listy czytelników ● Harcerskie lato.



GŁOS NAUCZYCIELSKI 31

2 VIII 1981

ROK LXIV ● TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY ● CENA 5 ZŁ

ZBIORCZA GMINNA NA CENZUROWANYM

DANUTA BUKAŁOWA

Ostatnimi czasy pod adresem szkół gminnych pada sporo słów ostrej krytyki. Zapoczątkowane w roku 1972 zmiany strukturalne, mające na celu powołanie w gminach placówek wysoko zorganizowanych stwarzających młodzieży warunki pracy, nie odbiegające poziomem od szkół miejskich — napotykały w praktyce wiele trudnych do przezwyciężenia barier. Ponieważ przyhamowano budownictwo dla potrzeb oświaty, zabrakło tym szkołom niezbędnej do rozwinięcia skrzydeł przestrzeni. W dodatku kuleje dowożenie uczniów, a i z kadrą specjalistów także nie jest najlepiej.

Nauczyciele skarżą się na ciasnotę, uczniowie i rodzice na uciążliwe dojazdy nie zawsze rekompensowane możliwością osiągnięcia wyższego poziomu wiedzy i umiejętności, niż to uczniowi zapewniały gęsto rozsiadane po wsiach szkoły niżej zorganizowane. Zaczynają nawet odzywać się głosy domagające się powrotu do poprzednich struktur, do czasu, zanim nie powstaną bardziej korzystne warunki dla kontynuowania reformy.

JAK JEST NAPRAWDĘ?

Czy rzeczywiście aż tak tragicznie? Czy zbiorczość nie wypaliła w ogóle, a więc lepiej wycofać się z tej formy doskonalenia oświaty na wsi?

Z Departamentu Kształcenia Ogólnego Ministerstwa Oświaty i Wychowania otrzymaliśmy obszernie materiały informacyjne, w których zapewnia się na wstępie, iż są to dane realistyczne. Opracowano je na podstawie ankiet zebranych z województw, wizytacji przeprowadzanych w roku 1980 w 66 gminnych placówkach, danych statystycznych GUS oraz listów z terenu.

Od momentu, w którym zapoczątkowano organizowanie gminnych placówek zbiorczych, minęło dokładnie 8 lat, mimo to proces ten nie został jeszcze zakończony i nie nie zapowiada rychłego finału. Przeciwnie, na skutek nie wykorzystanych warunków został dość ostro przyhamowany. Ile więc tych szkół dotychczas powołano? Globalnie w skali całego kraju 1759, co stanowi 85 procent w stosunku do liczby gmin, a tych mamy 2070.

Przystępując do wdrażania idei zbiorczości nie spodziewano się zapewne, że przedsięwzięcie to okaże się w praktyce tak najeżone trudnościami. Nie wystąpiły one zresztą od razu, lecz dopiero w ostatnich latach, gdy wyszło na jaw, że nie wspólnierna do potrzeb realizacja planów budowlanych położy tamę dalszej reorganizacji sieci szkolnej. Początkowo z tzw. bazą lokalową nie było kłopotów, były za opory rodziców. Później sytuacja uległa odwróceniu. Wtedy zaakceptowała placówki zbiorcze, nie było już sprzeciwów, natomiast pojawiły się trudności lokalowe.

IŁOŚCIOWY WYŚCIG

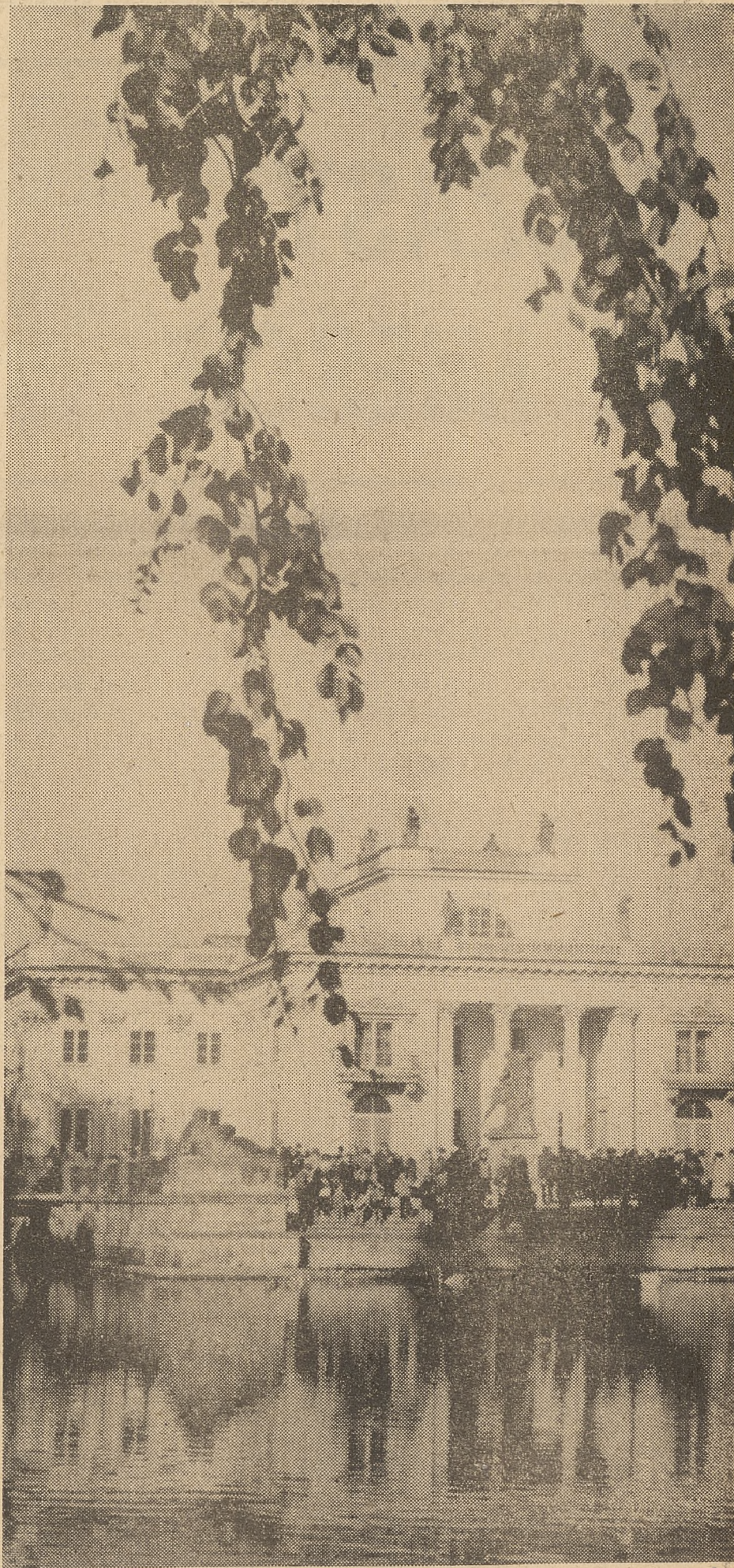
Najwięcej gminnych placówek zbiorczych powołano w latach 1973/74—1976/77, potem nastąpił regres. Wykorzystano

wszelkie możliwości lokalowe, kadrowe etc., a nawet je przekroczone. W wyścigu pod hasłem — ten lepszy, kto zorganizuje więcej szkół gminnych — kuratoria przytykały oko na fakt, iż nie wszystkie nowo powstałe placówki spełniały warunki odpowiadające wymogom szkół wyżej zorganizowanych, nie miały odpowiednich możliwości zorganizowania dowożenia uczniów. Otrzymały jednak szyld szkoły gminnej, co miało wystarczyć za wszystko, kryć lokalową mizериę, ale nie kryło. Według informacji z resortowych materiałów w trudnych lub nawet bardzo trudnych warunkach lokalowych pracuje 681 gminnych placówek. Ciasnota uniemożliwia im realizację ambitnych planów dając w efekcie wyniki odbiegające od zamierzonych.

Najtrudniejsze warunki mają placówki powoływane w ostatnim okresie. W ubiegłym roku (1980) pracownicy Departamentu Kształcenia Ogólnego MOiW zbadali w 18 województwach warunki funkcjonowania tych szkół. Okazało się, że nie odpowiadają one założonym kryteriom. Dlaczego więc je powołano? Różnie z tym było. Czasem naciskały miejscowe władze partyjne i administracyjne w przekonaniu, że wraz z powołaniem placówki wzrośnie autorytet gminy. Naczelnicy mieli też w tym swój interes, bowiem dyrektor gminny odciążał ich od prowadzenia księgowości dla szkół, przejmował bowiem całą obsługę finansową placówek oświatowych na terenie gminy. Czasem przybijając szyld „gminna, zbiorcza”, liczone na przyspieszenie budowy nowej szkoły, a więc było to coś w rodzaju presji inwestycyjnej. Pókuś mogło być też owe 300—500 tysięcy przydzielone przez resort każdej nowo zorganizowanej placówce gminnej (na wyposażenie), czy możliwość powołania zastępcy dyrektora do spraw wychowawczych, własnej obsługi finansowej uniezależniającej od nie zawsze przychylnych szkole urzędów gmin. Nawiasem mówiąc, okazało się, że szkoły w ten sposób lepiej gospodarują budżetem, racjonalniej, z większą korzyścią dla oświaty.

DUŻO UCZNIÓW — MAŁO PRZESTRZENI

Pierwsze i zasadnicze kryterium, jakie powinno być spełnione przy organizowaniu szkół gminnych, to tzw. baza lokalowa. Kryterium, jak już wspomniałam, w praktyce nie zawsze respektowane, w konsekwencji czego część tych placówek zmuszona jest z konieczności korzystać z izb wynajętych. W materiałach nie podano, ile szkół gminnych korzysta z tych lokali, jest tylko ogólna liczba izb wynajętych — 1581. Sal gimnastycznych nie mają 592 szkoły, w 613 brak szatni, w 256 kuchni, 425 gminnych nie ma świetlicy, 677 — gabinetów lekarskich, 358 etatu bibliotekarza. Z braku zaplecza gospodarczego 153 szkoły nie prowadzą w ogóle dożywiania.



W powstaniu 1944 roku historyczne warszawskie Łazienki podzieliły los stolicy, w której zginęło 250 tys. mieszkańców, legło w gruzach 84 proc. zabudowy, 90 proc. przemysłu i niemal 100 proc. urządzeń komunikacyjnych

Fot. Cz. Górski

SIERPIEŃ 1944

Dwa miesiące, zaledwie 63 dni; z punktu widzenia ludzkiego życia niewielka jego część, z punktu widzenia historii — ułamek sekundy niezauważalny na zegarze dziejów. A przecież te dwa miesiące sprędy 37 lat, te dni zamykające się klauzulą dat: 1 sierpnia — 3 października są wciąż żywe w pamięci narodu, wciąż budzą serdeczne wzruszenia. I nie tylko wzruszenia. Dla znacznej jeszcze części naszego społeczeństwa 1 sierpnia 1944 stanowi hasło wywołujące złożone uczucia: dumy i podziwu dla tego niezwykłego, patriotycznego zrywu narodu, żalu niespełnionych marzeń, gorzkości krzywd, których tak wiele wokół owych dwu miesięcy narosło w ciągu minionych lat i których — pomimo późniejszego ich wyrównywania — nigdy tak naprawdę wyrównać się już nie udało. Przynajmniej w odczuciu tego pokolenia, któremu historia wyznaczyła główną rolę w powstaniu warszawskim; pokolenia Kolumbów.

W jednej z powstańczych piosenek śpiewano: „Będziem szli defiladą Alejami z parady...”. I to było właściwie wszystko, całe zadośćuczynienie za hojny dar własnego życia, którego owe szesnasto- i dwudziestolatki, stanowiące żołnierską większość oddziałów powstańczych, oczekiwały dla siebie osobiście.

Nie było defilady, nie było uznania. Ordery, pomniki, wyrazy wdzięczności i bar-

dziej rzetelne oceny historyczne przyszły znacznie później; wtedy, gdy dla wielu miały już wyłączenie wartość sprawiedliwości dziejowej, ale sprawiedliwości wypracowanej ze wzruszeń. Przynajmniej z tych wzruszeń, do których jest się zdolnym tylko w młodości.

x

W wywiadzie, zamieszczonym w 30 numerze „Literatury”, prof. Henryk Samsonowicz, wypowiadając się na temat współzależności polityki i historii, nie bez pewnej melancholii przyznaje, iż wprawdzie teoretycznie historia powinna być nauką bezwzględnie obiektywną, to przecież nigdy taką nie była i nie jest. I nie tylko dlatego, że często — jak mówi profesor — „instrumentalne traktowanie historii bardzo łatwo udzielało się również władzom politycznym”, lecz przede wszystkim dlatego, że „przez pryzmat dnia dzisiejszego patrzymy na przeszłość (...) że uwarunkowania dnia dzisiejszego kształtują nasz pogląd na ocenę tego, co było. Nawet więcej, rzutują na sprawę zupełnie podstawową: na sposób stawiania pytań pod adresem przeszłości”.

Powstanie warszawskie jest jednym z tych wydarzeń historycznych, w odniesieniu do których w jaskrawy sposób potwierdzają się owe uwarunkowania uniemożliwiające obiektywizm naukowych ocen.

I jeśli nawet bezpowrotnie wykreśliły z pamięci okres świadomego, podejmowanego dla doraźnych celów politycznych, zniekształcania prawdy o powstaniu warszawskim, to przecież i później pytania, które stawiano tamtym dwu miesiącom, były pytaniami formułowanymi z perspektywy lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pytaniami zgoła innymi, niż te, które postawiliby wtedy, i tylko wtedy, dwudziestoltni Kolumbowie. Trudno więc się dziwić, że i odpowiedzi nie są w stanie wymazać osadu gorzkości, a współczesność ożywić tamtych emocji.

Czy jednak na pewno?

x

Rok temu, w polskim sierpniu, ponownie odżyły symbole powstania: biało-czerwone opaski; odżyła też, aczkolwiek inna już w kształcie i treści, „kotwica” Polski Walczącej.

I chociaż byłoby historycznym fałszem, głębokim nieporozumieniem i niesprawiedliwością doszukiwać się paraleli między obu tymi sierpniami, to przecież jest coś, co je łączy. W obu bowiem przypadkach — różniących się od siebie w sposób zasadniczy, wykluczający wszelkie porównania — jednym z czynników sprawczych było uczucie upokorzenia, którego dłużej znosić już było niepodobna.

Bo przecież cokolwiek byśmy nie mówili o politycznej zasadności powstania warszawskiego, jakkolwiek byśmy nie oceniali jego genezy, co do jednego wszyscy jesteśmy zgodni, że powstanie było nie tylko konsekwencją takich czy innych spekulacji politycznych, nie tylko aktem zbroj-

nym skierowanym przeciw wrogowi ożyzy, ale także nieuniknionym aktem moralnego oczyszczenia narodu, zadośćuczynienia za lata upokorzenia i klęsk.

I nie jest sprawą wyłącznie romantycznej spontaniczności i młodzieńczej niedojrzałości politycznej, że trzon powstańczej armii stanowiła młodzież. To także prosta konsekwencja faktu, że nikt tak dojmująco, jak to pokolenie „nastolatków”, wychowane w duchu Polski mocarstwowej, nie odczuł gorzkości porażki wrześniowej i poniżenia czasów okupacji. Nikt tak dojmująco, ponieważ tylko wówczas, gdy ma się lat „naście”, nie przyjmuje się do wiadomości żadnych politycznych i racjonalnych uzasadnień, ponieważ tylko wówczas widzi się świat prosto i jednoznacznie, takim jakim jest, a słowa znaczą to, co znaczą: upokorzenie znaczy upokorzenie, a godność znaczy godność.

Tragedią tego pokolenia był fakt, iż po wojnie we własnym wolnym już kraju tę godność podeptano ponownie. Że żołnierzy powstańczego zrywu, walczących ramieniem przy ramieniu o jeden przecież wówczas wyraźny i nadrzędny cel, podzielono na „bohaterów” i „zdrajców”, że patriotyczny czyn ważono na politycznej szali, krzywdząc tym i jednych, i drugich.

Warszawski sierpień 1944, prócz wszystkich innych, być może ważniejszych warunkowań i konsekwencji, był potwierdzeniem niepodważalnej prawdy, że nie wolno bezkarnie naruszać godności człowieka, godności narodu. Historia zaś wskazuje, iż należy o tym pamiętać niezależnie od tego, jak wielki byłby stopień owego naruszenia i jakie byłyby towarzyszące mu okoliczności.

KRYSTYNA ROGALSKA

WCZASY W MIEŚCIE

Mają od dawna ustaloną renomę wśród nauczycieli zatrudnionych w wsi i małych miastach. Nastawione są bowiem głównie na zapewnienie uczestnikom maksimum kulturalnej rozrywki — na zapoznanie ich z rytmem życia wielkiego miasta, jego zabytkami, architekturą i sztuką. Tę pożyteczną i atrakcyjną formę wypoczynku od wielu lat prowadzi Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego w czterech ośrodkach, głównie bursach i internatach, w Gdańsku, Gdańsku-Wrzeszczu, Krakowie i Warszawie. Każdy z wymienionych ośrodków organizuje w ciągu lipca i sierpnia 3 dwutygodniowe turnusy. W sumie w czasie tegorocznych wakacji z tej formy wczasów skorzystać może 2040 osób.

W różnych nie zawsze najlepszych warunkach odpoczywają nauczyciele tego lata, wielu po prostu pozostało w domu. Kto jednak wbrew wszelkim obawom wybrał się na wczasy w mieście, na pewno nie będzie swojej decyzji żałował. Jak co roku czeka go wiele atrakcyjnych rozrywek kulturalnych, jakich tylko może dostarczyć duże miasto. Mimo dotkliwszych niż kiedykolwiek kłopotów z zaopatrzeniem w produkty żywnościowe tego lata również zapewniono nauczycielom wypoczynek w mieście.

W dniu, w którym odwiedzam uczestników sezonowego domu wypoczynkowego przy ulicy Długiej w Warszawie, od samego rana pada deszcz. Mokra pogoda nie zniechęca jednak nikogo od udziału w zaplanowanej na dzisiaj wycieczce do Wilanowa. Co chwila ktoś sprawdza swoje nazwisko na wyłożonej w hallu liście, w obawie, by przypadkiem nie został pominięty. Pojadą w dwóch turach, inaczej wszyscy chętni nie pomieściliby się w autokarze. W świetlicy pani Helena Bytof — (k.o.) wydała bilety na sztukę Mrożka „Pieszo” graną w Dramatycznym, na „Awarie” tamże, na Dantego w Teatrze Studio, na Perichole do operetki. Idzie się na wszystkie, co w ogólnym sezonie w ogóle jest grane, dla wielu wczasowiczów to jedyna okazja zetknięcia się z prawdziwym teatrem, obejrzenia czołowych aktorów scen warszawskich. Znani są im wprawdzie z telewizji, ale spektakl telewizyjny to jednak namiastka teatru.

Uczestnicy każdego turnusu mają możliwość obejrzenia 5 spektakli. Dodajmy do tego wycieczki do Żelazowej Woli, wymieniać go już Wilanowa, koncerty, muzea, wystawy, zwiedzanie stolicy, a otrzymamy w sumie program bogaty i urozmaicony.

Toteż na nudę nikt się nie uskarża. Wielu przyjeżdża po raz drugi i trzeci, by lepiej poznać miasto, więcej zaczerpnąć ze skarbnicy jego kultury. A są i tacy, którzy niemal od początku powstania tej placówki do dziś pozostali jej wierni. Przyjeżdżają co roku. Dla wielu pobyt na wczasach jest jedyną okazją poznania Warszawy. Aż trudno uwierzyć, że tylu nauczycieli nigdy nie widziało swojej stolicy.

Pani Maria Gertner z Wieliczki jest co prawda nie pierwszy raz w Warszawie, ale pierwszy na tego rodzaju wczasach. Choć od przyjazdu minęło zaledwie kilka dni, zdążyła się już zaprzyjaźnić ze współmieszkanicami i odbywają razem wędrowki po Warszawie. Poza programem, oczywiście, żeby jak najwięcej zobaczyć. Pani Maria interesuje się architekturą, historią sztuki, malarstwem, sama zresztą trochę maluje. No więc biega do muzeum, na wystawy, szpera po księgarniach. Szczęśliwym trafem znalazła tu długo i bezskutecznie poszukiwaną książkę o Cybisie. Bardzo się cieszy z tej zdobyczy.

Pan Andrzej Michałowski przyjechał aż z Zielonogórskiego, żeby zobaczyć Warszawę, miasto swojej młodości (studiował tu już po wojnie), spotkać się z dawną nie widzianą rodziną, no i, co najważniejsze, zaspokoić głód rozrywek kulturalnych. Na nic nie narzeka. Jego zdaniem, jak na obecne warunki, wyżywienie jest dobre, do tego sprawna organizacja, przyjemna atmosfera, mile kierownictwo.

Opinie te potwierdzają wszyscy wczasowicze, z którymi udało mi się przeprowadzić krótkie rozmowy. Nikt się nie skarży, choć w końcu byłoby przecież na co, bo warunki lokalowe nie są znowu takie luksusowe. Dom wprawdzie solidny, ale od lat wymaga remontu. Tym bardziej, że eksploatowany jest niemal non stop. W ciągu roku szkolnego bursy dla dziewcząt zamienia się na czas wakacji w placówkę wczasową. Pokoje wyposażone są bardzo skromnie w stare mocno sfałtowane meble. Nikt na ogół nie zwraca na to szczegó-



Wczasy w mieście, organizowane przez ZNP, mają już od wielu lat licznych sympatyków.

nej uwagi, z wyjątkiem kierującej wczasowym ośrodkiem pani Zdzisławy Skowron, która pragnęłaby zapewnić wczasowiczom pod każdym względem najlepsze warunki wypoczynku. Toteż walczy o fundusze na wymianę sprzętu i o remont budynku. I nie bez efektów. W tym roku zakupiono nową pościel, a co najważniejsze — rozpoczęto kapitalny remont.

Pani Zdzisława piąty rok z kolei prowadzi ośrodek przy Długiej, ma duże doświadczenie. Nie kryje jednak, że utrzymanie domu na tym samym poziomie co w latach ubiegłych jest zadaniem bardzo trudnym, nawet niewykonalnym, ale robi wszystko, co możliwe i niemożliwe, aby wczasowicze nie odczuwali braków. Bywa, że cały personel zostaje postawiony na nogi, wszyscy biegają po mieście, żeby zdobyć więcej produktów żywnościowych poza skromnym przydziałem. Ogromnie męczące i czasochłonne są te „polowania”, ale przecież efektywne.

Pani Zdzisława bardzo sobie ceni opinię wczasowiczów i choć od lat jest ona niezmiennie pozytywna, stara się, by była nadal w pełni zasłużona. Zdarzają się czasem jakieś drobne przykrości, ludzie są różni, ale o wiele więcej zbiera dowodów wdzięczności. Kronika, którą przeglądam, pełna jest takich przyjemnych zapisów, wczasowicze dziękują za miłą atmosferę, obfitość atrakcyjnych imprez, za serdeczny stosunek kierownictwa. „Minęły dwa tygodnie, a wracać do domu nie mam ochoty” — ten wpis wydaje mi się najbardziej ze wszystkich wymowny.

Autokar z pierwszą turą wczasowiczów odjechał już do Wilanowa. Deszcz pada jeszcze, ale już jakby zaczynało się przeczyszczać. Może druga tura będzie miała więcej szczęścia do pogody. Tymczasem siedzimy w świetlicy. Ktoś włącza telewizor — retransmisja z obrad IX Zjazdu. Rozglądam się po sali, oczywiście, większość, co tu kryć większość zdecydowana, to mężczyźni, mimo że na 124 wczasowiczów, przedstawicieli pięci brzydkiej jest tu za-

ledwie trzydziestu. Trochę mnie dziwi ten brak zainteresowania u kobiet aktualnymi wydarzeniami, zwłaszcza wydarzeniami o tak wielkim ciężarze gatunkowym.

Moi rozmówcy twierdzą, że wieczorem salka się zapełnia, jeśli, oczywiście, nie ma w programie teatru czy koncertu. Bo oni po prostu przyjechali tu głównie po to, aby wypocząć, nastawili się na kulturę, sztukę, na pełny psychiczny relaks. Mimo że zjazd jest ciekawy, nie chcą spędzić tych kilku dni urlopu przed telewizorem. Zresztą o wszystkim dowiadują się z prasy, którą można czytać wszędzie, w autokarze, na ławce w parku, w tramwaju. Prasa dostarczana jest codziennie, nie może więc być mowy o niedoinformowaniu.

W ciągu lata trzy razy wymieniają się wczasowicze z domu przy ulicy Długiej. Trzy dwutygodniowe turnusy po 150 osób każdy stwarzają szansę 450 nauczycielom bliźszego poznania stolicy. Opinie o tej formie spędzania urlopu są zdecydowanie pozytywne. Są to bezprzecnie wczasy udane, wychodzące naprzeciw potrzebom kulturalnym nauczycieli z głębokiego terenu. Tym bardziej dziwić musi fakt niewykorzystania wszystkich miejsc. Pierwszy turnus (1—14 lipca) liczył 124 uczestników, a więc 26 miejsc pozostało wolnych, na drugi (17—30 lipca) przyjechało 130 osób, o 20 mniej niż wynosi limit.

Powstaje pytanie, dlaczego tyle miejsc marnuje się, kiedy mogłyby być z pożytkiem wykorzystane? Czy rzeczywiście nie ma chętnych, czy po prostu brak dobrej informacji? W każdym razie coś nie gra, skoro sytuacja ta powtarza się od lat. Wiem, że wiele osób dobiła się o skierowania, zwłaszcza ci, którzy w tej formie wczasów zasmakowali chętnie przyjechaliby jeszcze raz, tymczasem w każdym turnusie nie wykorzystuje się sporej liczby miejsc. A szkoda, bo jest to szczególnie atrakcyjna i pożyteczna forma wypoczynku.

DANUTA SOKOLNICKA

W GĄSZCZU PARADOKSÓW

W takim tempie dawno w Polsce szkół nie budowano. Zaledwie rok temu położono w Kostrzynie nad Odrą kamień węgielny pod fundamenty nowej placówki oświatowej, a już teraz, z pierwszym dzwonkiem na lekcje, Szkoła Podstawowa nr 4 (bo taki otrzymała ona kolejny numer), rozpocznie pracę.

Ten budynek szkolny — a właściwie trójczłonowy kompleks — zaplanowano z wyczerpaniem potrzeb oświaty na najbliższe lata. Kosztów około 70 mln zł powstanie — obok dwudziestu izb lekcyjnych oraz gabinetów przedmiotowych (już gotowych — wartości 40 mln zł i wyposażonych dzięki dziesięciomilionowej dotacji Ministerstwa Oświaty i Wychowania) — w kolejnym etapie tzw. blok żywieniowy z dużą stołówką oraz hala sportowa z pełnowymiarowym basenem pływackim. Nawet w znanej, bardzo trudnej sytuacji inwestycyjnej, nie ograniczono się tutaj do marzeń. Z inicjatywy miejskiej organizacji partyjnej sięgnięto do znacznych — jak się okazało — społecznych rezerw, spośród których pomoc żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza ze wszystkich nadodrzańskich strażnic stała się decydującym wkładem.

Poza normalnymi godzinami pracy w swoich zakładach stawiali się licznie na tę budowę także kostrzyńscy robotnicy, aby obsługiwać skierowany tu — również społecznie — mechaniczny sprzęt. Pomagali masowo rodzice przyszłych uczniów, a nawet emeryci zrzeszeni w Kole Miejskim ZBoWiD. Paradoksalne często (wobec dostępności rozwiązań z najbliższego sąsiedztwa których wykorzystania broniły bariery resortowe), trudności materiałowe czy transportowe skutecznie pokonywał powołany w Kostrzynie „sztab” złożony z przedstawicieli władz miasta i dyrekcji tutejszych zakładów. Jednym z przykładów niezbędnej „stabowej” operatywności stała się dostawa żwiru z odległej o 10 km Górzycy: kierowców ciężarówek wożących tam towary z Kostrzyna zobowiązano do regularnych transportów żwirowych w drodze powrotnej.

— W ten sposób ze znaczną korzyścią zlikwidowano puste przebiegi — opowiada przewodniczący społecznego komitetu budowy szkoły, Kazimierz Rapacz, dyrektor Kostrzyńskich Zakładów Papierniczych.

— Gdy było trzeba, z różnych fabryk pożyczano tej budowie cement, belki stropowe, a nawet benzynę do samochodów — słysze z kolei w Komitecie Miejskim PZPR. — Całe miasto jakby uparło się, że dotrzyma terminu ukończenia pierwszego etapu budowy, bo chodziło o lepsze warunki dla siedmiuset dzieci, uczących się na trzy zmiany, upchanych w zapełnionych ponad wszelkie normy klasach trzech miejscowych szkół podstawowych.

Dziś wszyscy kostrzyńianie — i ci, którzy na pierw z łopatami w wolne soboty i niedziele niwelowali gruzowisko, i ci, którzy fachową ręką dołożyli się do budowy, i ci, którym wypadło (myśle o zatrudnionych tu już nauczycielach) programować przyszłą działalność „czwórki” — mają bezsporne powody do czysto ludzkiej satysfakcji. Ten czyn bowiem nie wiąże się z żadną fasadową robotką na pokaz, a przeciwnie, przy iście wojskowej dyscyplinie i organizacji przyniósł rezultaty, jakich pragnęliby się oczekiwać nie tylko w tym starym grodzie nad Odrą.

PARADOKS PIERWSZY

Kostrzyn zatem będzie miał placówkę oświatową — jedną z najnowocześniejszych w całym województwie gorzowskim, a po zakończeniu prac (za dwa lata) — również na skalę kraju. Finisz pierwszego etapu tej społecznej budowy nie przesłania jednak administracji oświatowej województwa kłopotów, z jakimi borykają się inne miasta w tym regionie: zwłaszcza Międzybórz, Barlinek i Choszczno. Brakuje tu kilku budynków szkolnych w samym Gorzowie, gdzie powstawały kilkunastoletnie osiedla bez właściwej infrastruktury (bo nie opłacała się ona przedsiębiorstwom budowlanym). Stolicy województwa niezbędny jest też obecnie zespół szkół zawodowych spożywczych, gdyż ten kierunek kształcenia ma przyszłość przed sobą.

— Na rok bieżący otrzymaliśmy resortowe nakłady inwestycyjne jedynie na budo-

wę trzech szkół (Krzyszcz, Skwierzyna, Barlinek) — informuje gorzowski wicekurator oświaty i wychowania, dr Józef Przekwas. — Cała ta suma tymczasem wystarcza właściwie na kontynuowanie jednej tylko takiej budowy i to w cyklu trzyletnim. W rezultacie np. krzeszycką placówkę oświatową budowlani wznoszą już od kilku lat, a do końca jeszcze daleko. Mamy więc do czynienia ze swoistym paradoksem: to, co z funduszy resortu, choć jako planowane, powinno być przykładowo i terminowo zakończone, systematycznie się opóźnia; natomiast inwestycje poza planem, dosyć żywiołowo powstające ze środków społecznych, jak choćby kostrzyńska „czwórka”, oddawane są do użytku na czas i pod każdym względem ocenia się je jako wzorowe.

Takich inwestycji, podejmowanych przez społeczne komitety budowy, znajdzie się teraz więcej w Gorzowskim. Wymienić tu należy zwłaszcza liczne przedszkola, a poza



Fot. CAF

tym wielką szkolną salą gimnastyczną w Skwierzynie i niewielką mniejszą w Pelczycach, rozbudowę Szkoły Podstawowej nr 2 w Barlinku i „przybudówkę” (aż 20 izb lekcyjnych) do bardzo teraz ciasnego Zespołu Szkół w Choszczynie. Na spodziewaną dotację z „Totolotki” oczekują dwie hale sportowe w Dębnie i Barlinku (dokumentację już zgromadzono), zaś zamiary podjęcia czynów społecznych na rzecz oświaty już zgłosiła co trzecia gmina w Gorzowskim.

Trudno orzec, w jakim stopniu zostało to podyktowane zamiarem przyspieszenia niezbędnych, zdaniem społeczeństwa, inwestycji, zaś w jakim znowu — stanowi po prostu pełen determinacji gest wobec widocznych dla każdego opóźnień w planach inwestycyjnych resortu. Za tą drugą rację interpretacją przemawiałby fakt, że również remonty szkolne udaje się w tym województwie wykonywać o tyle nagle, o ile prowadzi się je własnymi, lokalnymi siłami i środkami finansowymi.

PARADOKS DRUGI

Mój rozmówca z gorzowskiego kuratorium pragnie być ścisły:

— Przytoczmy dwa fakty z ubiegłego roku. Nakłady na remonty placówek oświatowych wyniosły wówczas 54,5 mln zł (dla porównania w 1976 r. — 61,5 mln zł). Wykonano jednak roboty o wartości tylko



Fot. Cz. Górski

niedługo ponad 38 mln zł, podczas, gdy równocześnie, podejmując wiele prac społecznie, zdołano wykorzystać 80 mln zł.

Istotniejszy — i groźniejszy — staje się jednak tutaj drugi paradoks. Oto od dwóch lat, mimo przyznawanych środków, osławione limity dokuczały i kuratorium (na cele remontowe szkolnictwa średniego), i naczelnikom gmin (jeśli chodziło o remonty szkół podstawowych). Głównie przecież wskutek tych ograniczeń nie można było wykorzystywać budowlanego potencjału rzemiosła, zaś w Gorzowskim jest on bardzo znaczny. Brak słynnych „mocy przerobowych” odbija się tak niekorzystnie na planach renowacji budynków szkolnych, że kuratorium musiało powołać — w większych gminach regionu — aż 11 brygad remontowo-budowlanych. Dzięki nim dopiero drgnęła wskazówka wykonywania wspomnianych zadań.

Teraz — jak wiadomo — limity zniesiono, a rzemieślnicy — jak zwykle chętnie — garna się do pracy na rzecz inspektoratów szkolnych. Niejeden inspektor zmuszony bywa jednak do grzecznej tutaj odmowy. Bo wie, że zabrakłoby mu na te zgłoszenia środków finansowych.

Słowem: były niegdyś środki, ale bez szans wykorzystania, teraz pojawiły się te szanse, ale brak środków. Na zakłady przemysłowe liczyć pod tym względem już nie można, odkąd przepisy, uchwałą nr 118, skrupułały ich poprzednią hojność dla oświaty.

Podziwiać trzeba upór, z jakim, także i tych wakacji, pokonując owe paradoksalne przeszkody, administracja oświatowa w Gorzowskim usiłuje doprowadzić do sytuacji, w której 1 września klasy będą jednak czyste, a sanitariaty i kuchnie nie wzbudzą zastrzeżeń surowych komisji Sanepidu.

Wykorzystuje się tu dla pożytecznego celu różne nieoczekiwane wcześniej możliwości. We wspomnianym już Kostrzynie zezwolono dyrektorowi Szkoły Podstawowej nr 1 na zawarcie umowy z Dyrekcją Rejonową PKP w Gorzowie, która ów budynek szkolny zaprzęgnęła uczynić bazą kolonijną. (W drodze wymiany z innymi dyrekcjami PKP tutejsi kolejarze wysyłają dzieci np. do województwa wrocławskiego, a kolonistów stamtąd goszczą u siebie). Kolonia funkcjonuje znakomicie, zaś prowadzenia jej podjął się wspomniany dyrektor kostrzyńskiej „jedynki” — Tadeusz Switek. W zamian brygada kolejarska miała wykonać w tej szkole normalny remont. I wykonuje. Rok po roku, także i obecnie jak się patrzy.

Z kolei pewne ograniczenie inwestycji w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych wykorzystwały niektóre gminy w Gorzowskim, by spółdzielczym brygadom powierzyć teraz remonty szkolne. Dzieci członków RSP przecież uczęszczają do tych szkół, więc łatwo się z rodzicami dogadać, że rachunek na rzecz spółdzielni, ureguluje się, gdy... będą środki.

Takie chałupnicze, rzecz można, metody pchają, jak się okazuje, zdecydowanie naprzód front robót przy tegorocznych remontach szkół. Już dziś wiadomo, że zabiegi konserwacyjno-malarskie przeprowadzi się na czas we wszystkich prawie placówkach oświatowych w Gorzowskim, ale gruntowniejsze prace zmieszczą się w

prawniowych terminach, chyba jedynie dzięki ludzkiej ofiarności i pomysłowości.

PARADOKS TRZECI

Owych gruntownych robót w tym roku przybyło, bo trzeba dokonać adaptacji szeregu obiektów na cele oświatowe.

W Rowie, gm. Międzybórz, miejscowa RSP przekazała taki obiekt, bo tamtejsi rodzice uczniów życzą sobie reaktywowania w tej miejscowości szkoły filialnej. Z budżetu oświaty pójdzie na ten cel ponad 400 tys. zł.

W Sulęcinie zdecydowano się oddać na przedszkole budynek KM i KG PZPR, ale za adaptację zapłaci, rzecz jasna, oświata i to milion złotych. Podobnie w Ślubicach — przy budynku WSS. Milionową kwotę także należy przeznaczyć na przebudowę gorzowskiej, nieczynnej już, wylegarni drobiu, aby uruchomić tam przedszkole. W Niegosławiu (gmina Drezdenko) Urząd Miasta i Gminy znalazł teraz wolny dom na mieszkania dla nauczycieli, co jednak w efekcie będzie kosztowało gorzowskie kuratorium około pół miliona złotych za sam remont. Dwa razy tyle pochłonęło przystosowanie obiektu po Gorzowskim Towarzystwie Muzycznym na Młodzieżowy Dom Kultury (za wyposażenie trzeba będzie zapłacić drugi milion).

I tak dalej i dalej, milion po milionie. Nikt w oświacie, oczywiście, nie zamierza nimi szastać, ale życie mówi: nic za darmo. Przeto, kiedy prasa euforycznie powiadamia, że iście wspaniałomyślnym gestem gdzieś tam znowu ktoś coś oddaje oświacie, kuratorium rozpacza. I łapie się za kieszeń. Taki to kolejny paradoks. Bo kieszeń jest pusta.

— Województwu gorzowskiemu przyznano w roku 1981 na remonty tylko 53 mln zł, a potrzeby są co najmniej dwa razy większe — ocenia z niejakim zakłopotaniem wicekurator, dr Józef Przekwas. — Wnioski mieszkańców wsi zadecydowały m.in. o konieczności reaktywowania w regionie aż dziesięćdziesięciu spośród kilkudziesięciu zlikwidowanych wcześniej punktów filialnych. Koszty tej operacji — również remontowe — będą niebagatelne. Zwróciliśmy się do Ministerstwa Oświaty i Wychowania o dofinansowanie budżetu w tej dziedzinie sumą dziesięciu mln zł. Otrzymałaliśmy jedynie połowę postulowanej kwoty...

W gąszczu paradoksów, opłatających obecnie inwestycyjną i remontową działalność w szkolnictwie, drożkę wyjścia, jak widać, torują dziś jedynie inicjatywy społeczne. Ale administracja oświatowa, przyjmując je z wdzięcznością, pozostaje świadoma faktu, iż jako część administracji państwowej ma prawo oczekiwać od władz centralnych rozstrzygnięć skutecznie wreszcie eliminujących paradoksalne obecnie trudności i przeszkody. Czy się remontuje, czy buduje, niechże na przyszłość sprzyja temu należyte podstawy działań.

JANUSZ TRZCIANKA

KOMU POWIERZYĆ TEN KRAM?

W 28 numerze „Głosu” omówiliśmy pierwszą część raportu o stanie orientacji i poradnictwa zawodowego w naszym kraju, przygotowanego przez Pracownię Poradnictwa Zawodowego Resortowego Ośrodka Doskonalenia i Doskonalenia Kadr Ministerstwa Pracy, Plac i Spraw Socjalnych. Dziś prezentujemy propozycję modelu systemu orientacji i poradnictwa, w znacznej części oparłego na wzorach systemów w krajach wysoko uprzemysłowionych Zachodu oraz Węgier.

Autorzy raportu, wychodząc ze słusznego założenia, że słabość naszego „systemu” wynika z nadmiernego rozproszenia sił i środków oraz braku organu koordynującego różnorodne i wewnętrznie niespójne przedsięwzięcia, uważają, że poradnictwo powinno przynależeć do jednego resortu i obejmować instytucjonalnymi usługami w sposób ciągły i kompleksowy cały okres zawodowego życia człowieka oraz przygotowania do niego. Ktoś wreszcie musi przyjąć odpowiedzialność za ustalony program, zorganizować pracę i egzekwować jej wykonanie.

Wydaje mi się, że w punkcie „komu powierzyć ten kram” raport wywoła najwięcej kontrowersji, ponieważ propozycje burzą dotychczasowe układy. W czym tkwi novum? Skoro orientacja i poradnictwo zawodowe polegają na przygotowaniu człowieka do bezkonfliktowego wejścia w świat pracy, jego akceptacji i znalezienia w nim satysfakcjonującego miejsca, to instytucjonalnie najbardziej predestynowanym resortem do koordynowanej realizacji owych zadań jest resort pracy — sugerują autorzy.

Czyżby chodziło o formalną zbieżność w nazwie „praca”? Analiza raportu wskazuje na merytoryczne uzasadnienie takiej konkluzji co wcale nie oznacza bezkrytycznej oceny dotychczasowej działalności ministerstwa. Odwrotnie, jak sędzi, uniknęłoby się skostnienia pracy subcentrów i centrum. Swobodny przepływ nie oznacza bowiem ciągłego przedstawiania ludzi, lecz okresowy wymiennosci, np. przez miesięczne staże. Po prostu idzie o egemplifikację zasady „bliziej życia”.

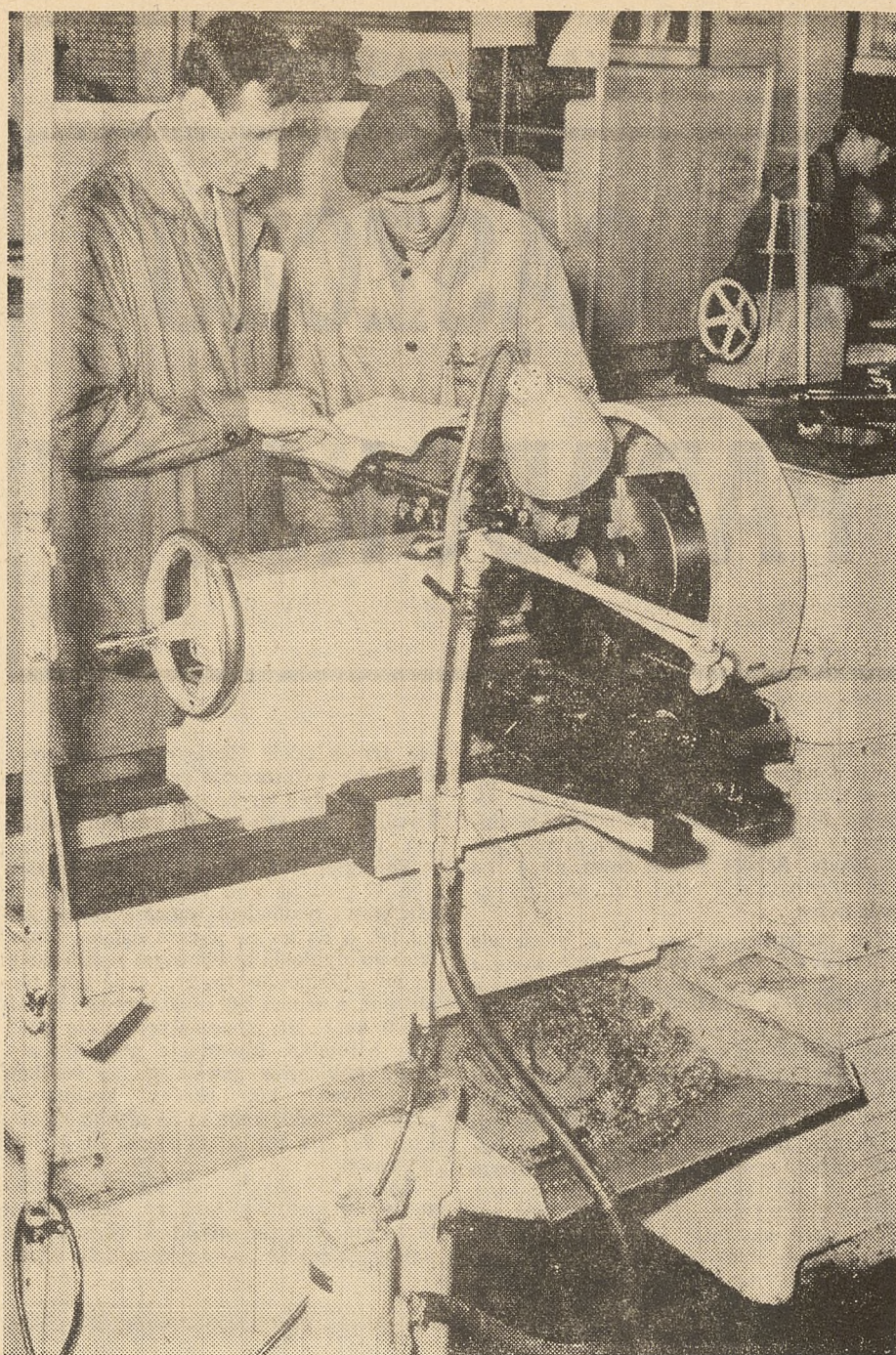
Komu służy placówka terenowa? Wszystkim, którzy się do niej zgłoszą lub którzy zostaną zgłoszeni przez szkoły czy służby socjalne. W związku z tym placówki muszą zapewnić powszechność i łatwość dostępu do świadczonych przez nie usług dla całej zbiorowości na określonym terenie działania, prowadzić usługi kompleksowe, aby objąć nimi najważniejsze etapy zawodowego życia człowieka; jak również uprawiać poradnictwo aktywne. Odnosi się ono przede wszystkim do osób niepełnosprawnych, o ograniczonej samodzielności w podejmowaniu decyzji zawodowej. Po prostu do ludzi tych trzeba przyjąć z pomocą, nie czekając, aż się sami po nią zgłoszą.

Jakiej pomocy może oczekiwać młodzież od terenowej placówki orientacji i poradnictwa? Jak najwięcej informacji — rzetelnej i wyczerpującej, udostępnianej w różnych, w miarę możliwości atrakcyjnych formach. Dzięki niej uczeń może trenować podejmowanie decyzji przez zwykłą przyimarkę własnych możliwości (psycholog i lekarz pomogą je określić) do wymagań konkretnego zawodu.

Najbardziej potrzebują tej fachowej i bogatej informacji uczniowie ostatnich klas szkoły podstawowej i liceów, gdyż od przymiarke do zawodu zależy trafny wybór drogi dalszego kształcenia. Trening tych uczniów nosiłby nazwę „wybieram zawód”. Natomiast trening uczniów szkół zawodowych i studentów sprowadzałby się do formy „szukam pracę”.

A dorośli? Te grupy klientów stanowiłyby osoby, które z własnej woli decydują się na poszukiwanie innego zawodu niż dotychczas wykonywany lub innego miejsca pracy. Pomocy udzielałyby zlokalizowane w placówce oddziały pośrednictwa pracy. Tu zainteresowani powinni także uzyskać pomoc w dokonaniu samooceny własnych możliwości psychofizycznych oraz informację o sposobach ewentualnego przekwalifikowania się. Uzyskane od psychologa i lekarza orzeczenie o zdolności do określonej pracy byłoby wiążące dla zakładu.

Bez porównania trudniejszym, ale przecież wykonalnym zadaniem placówki, byłaby pomoc w zorganizowaniu przekwalifikowania całych grup robotników, co łączy się z planowym przekształcaniem struktury zatrudnienia w poszczególnych zakładach czy nawet rejonie. Sprawa wyjątko-



telnej i wyczerpującej, udostępnianej w różnych, w miarę możliwości atrakcyjnych formach. Dzięki niej uczeń może trenować podejmowanie decyzji przez zwykłą przyimarkę własnych możliwości (psycholog i lekarz pomogą je określić) do wymagań konkretnego zawodu.

Najbardziej potrzebują tej fachowej i bogatej informacji uczniowie ostatnich klas szkoły podstawowej i liceów, gdyż od przymiarke do zawodu zależy trafny wybór drogi dalszego kształcenia. Trening tych uczniów nosiłby nazwę „wybieram zawód”. Natomiast trening uczniów szkół zawodowych i studentów sprowadzałby się do formy „szukam pracę”.

A dorośli? Te grupy klientów stanowiłyby osoby, które z własnej woli decydują się na poszukiwanie innego zawodu niż dotychczas wykonywany lub innego miejsca pracy. Pomocy udzielałyby zlokalizowane w placówce oddziały pośrednictwa pracy. Tu zainteresowani powinni także uzyskać pomoc w dokonaniu samooceny własnych możliwości psychofizycznych oraz informację o sposobach ewentualnego przekwalifikowania się. Uzyskane od psychologa i lekarza orzeczenie o zdolności do określonej pracy byłoby wiążące dla zakładu.

Bez porównania trudniejszym, ale przecież wykonalnym zadaniem placówki, byłaby pomoc w zorganizowaniu przekwalifikowania całych grup robotników, co łączy się z planowym przekształcaniem struktury zatrudnienia w poszczególnych zakładach czy nawet rejonie. Sprawa wyjątko-

wo aktualna ze względu na porządkowanie naszej gospodarki.

Na czym polega usługowy charakter subcentrów i centrum wobec placówek terenowych? Ich zadaniem byłoby dostarczanie placówkom materiałów informacyjnych o zawodach oraz pełnych zestawów metod badań psychologicznych, zapewnienie dostępu do danych statystycznych, programów społeczno-gospodarczego rozwoju rejonów, planów inwestycyjnych itd.; doradztwo kontrolowanie prawidłowości pracy placówek, udział w przewidywaniu trudności. Każde subcentrum będzie się dodatkowo specjalizowało w problemach szczególnie charakterystycznych dla danego terenu. Na przykład subcentrum śląskie mogłoby być ogólnokrajową bazą specjalistyczną dla zawodów górniczych.

Koordynacja prac na szczeblu centralnym zajmowałaby się centrum, które poza wymienionymi zadaniami, ale w skali ogólnokrajowej prowadziłoby doskonalenie zawodowe specjalistów do spraw orientacji i poradnictwa oraz prace naukowo-badawcze nad uwarunkowaniami decyzji zawodowych. Ponadto sprawowałoby nadzór merytoryczny, finansowy i organizacyjny wszystkich placówek, jak również spełniałoby funkcję rzecznika i reprezentanta interesów całego systemu poradnictwa zawodowego.

POWODZENIE WE WSPÓŁPRACY

Czy w proponowanym systemie orientacji i poradnictwa istnieje miejsce dla działalności innych instytucji? Nie tylko istnieje, ale jest konieczne, aby system mógł normalnie funkcjonować. Szczególna rola przypada w nim placówkom oświatowym oraz zakładom pracy. O zadaniach placówek oświatowych wspominałam na początku. Funkcje zakładu pracy wynikają z tego, że stanowi on teren działania placówki poradnictwa w sensie kontaktów z osobami zainteresowanymi usługami oraz jako podstawowe źródło wiedzy o różnorodnych aspektach zatrudnienia, tak bardzo potrzebnej doradcom zawodowym.

Zarówno placówki poradnictwa, jak i instytucje wspomagające działają na zasadzie partnerskiej. Nie ma mowy o jakimś stosunku podrzędności. W przypadku szkoły jest to przecież realizacja przedmiotowych programów nauczania i wychowania; trudno sobie wyobrazić, aby placówka orientacji i poradnictwa wkraczała na ten integralny teren. Musi być natomiast współpraca w organizowaniu kontaktów doradców zawodowych z młodzieżą. Jej zasady powinny być ustalone. Kto to ma uczynić? Na pewno wszystkie zainteresowane strony: centrum oraz jednostki nadrzędne instytucji wspomagających (Ministerstwo Oświaty i Wychowania oraz resorty gospodarcze).

OD CZEGO ZACZĄĆ?

Doświadczenie uczy, że nawet najdoskonalsze koncepcje rozbijają się w zderzeniu z naszą codzienną rzeczywistością. Toteż

przystępując do tworzenia fundamentów nowego modelu, trzeba dokładnie przemysleć punkt po punkcie, żeby pomyłek było jak najmniej.

Myszę, że twórcy raportu podeszli do sprawy realistycznie. Nie ograniczyli się do nakreślenia samej wizji, ale próbowali też dać wstępną odpowiedź na pytanie, od czego zacząć, żeby proponowany system nie rozplynął się w naszej niemożności? Dlatego punktem wyjścia uczynili obecną sytuację społeczno-ekonomiczną kraju oraz trzyletni plan stabilizacji gospodarki w latach 1981—1983.

Sprawa jest jasna: musimy się nastawić na rozsądne gospodarowanie środkami istniejącymi i w związku z tym powoli budować nowe przy maksymalnym wykorzystaniu dobrych elementów starego. Ten sposób widzenia problemu czyni propozycję nowego systemu orientacji i poradnictwa zawodowego realną, a ze względu na spójność koncepcji — także racjonalną.

Pierwszym posunięciem byłoby zatem powołanie zespołu koordynatorów, stanowiącego jakby zaczątek zmian aktualnego stanu. Zespół zajęłby się przeprowadzaniem szeroko zakrojonego sondażu w celu określenia podstawowych problemów warunkujących funkcjonowanie systemu poradnictwa. Następnie ogłosiłby otwarty konkurs na programy rozwiązania owych problemów z podaniem koniecznych środków, warunków i czasu realizacji. Ocena propozycji mogłoby się zająć „jury” w następującym składzie: naukowcy, praktycy poradnictwa, przedstawiciele resortów, organizacji społecznych itd. Autorem najlepszych projektów powinno się powierzyć ich realizację. Będą oni koordynatorami prac zmierzających do rozwiązania kolejnych problemów. Będą stanowili „trust mózgów” poradnictwa, sztab ogólnokrajowego centrum.

W drugim etapie trzeba pomyśleć o stworzeniu podstawowych narzędzi pracy, gdyż jest to warunek praktycznego funkcjonowania systemu. Chodzi o źródłową informację zawodową do charakterystyk zawodów, nomenklatury i klasyfikacji, informatorów o zawodach i innych opracowań zawodoznawczych. Ważnym narzędziem są techniki posługiwania się informacją zawodową przez podejmującego decyzję, jak również podstawowy zestaw testów psychologicznych przeznaczonych specjalnie dla poradnictwa zawodowego.

W pracach organizacyjnych podczas gromadzenia źródłowej informacji zawodowej, której podstawę stanowi analiza pracy na stanowisku roboczym, powinni wziąć udział pracownicy poradni wychowawczo-zawodowych, punktów orientacji i poradnictwa oraz komórek analiz społecznych zakładów pracy. W związku z tym konieczna byłaby zmiana zakresu ich obowiązków.

Przypuszcza się, że okres zbierania informacji źródłowych powinien się zamknąć w granicach jednego roku. W następnym można już syntetyzować zebrany materiał, dokonując jednocześnie przesunięć części pracowników poradni wychowawczo-zawodowych do punktów orientacji i poradnictwa zawodowego. Poradnie wychowawczo-zawodowe jako wydzielone placówki mogłyby się koncentrować na świadczeniu usług na rzecz rodziny (pozwadnie wychowawcze). W następnych kolejności niektórzy pracownicy dotychczasowych punktów i poradni utworzyłbyby kary subcentrów i centrum. Chodzi o grupę osób zajmujących się zagadnieniami ogólnymi, teoretycznymi.

Najtrudniejsze w obecnej sytuacji wydają się sprawy finansowe, zwłaszcza że fundusze są bardzo rozproszone. Raport proponuje utworzyć Fundusz Poradnictwa Zawodowego, którego dysponentem byłoby ostatecznie centrum poradnictwa. Obecnie niepodobna nawet określić wielkości sum przeznaczonych na różne akcje, gdyż pochodzą one z różnych źródeł. Dlatego uporządkowanie finansów jest palącą potrzebą chwili.

Do całosci poczynną w tworzeniu nowego systemu orientacji i poradnictwa potrzebne są jeszcze akty prawne. Na przykład ustanowienie statusu doradcy zawodowego, statusu centrum, subcentrum i placówki terenowej; sposobu finansowania poradnictwa; sposobu rozliczania i kontroli jego działalności; ujednolicenie prawne udziału szkół, zakładów pracy i innych placówek współpracujących funkcjonowanie systemu.

Do niezbędnych działań należy również uporządkowanie plac w skali kraju i osłabienie hamulców mobilności szkół, ograniczenia meldunkowe itp. Potrzebne są także działania reformatorskie i stabilizacyjne w szkolnictwie, szczególnie w zawodowym. Gdyby już teraz istniał proponowany schemat organizacyjny placówek orientacji i poradnictwa, doradcy zawodowi mieliby nie lada problem z udzielaniem wiążących informacji zarówno o zawodach, miejscach pracy i placach, jak również o placówkach do zawodów przygotowują. Słowa: „ponoć”, „przypuszczalnie”, „około” itp., którymi zastępowujemy rzetelne dane, owocu, ale tylko w potęgowaniu chaosu i dezorientacji.

Jakie szanse urzeczywistnienia ma proponowany system? To zależy od społeczeństwa. Być może, powstana jeszcze inne całosciowe koncepcje, pochodzące spoza resortu pracy. Na razie dysponujemy jedynie kilkoma brakami w wyposażeniu, nie otrzymamy pełnej, należytej im, kwoty ze środków przekazanych województwom przez MOiW. Środki te, wcale zresztą niepełne, stanowią realną próbę wyprowadzenia poradnictwa z kryzysu.

Omówienie przygotowała
ZENOBIA MILLER



Fot. Cz. Górski

ZBIORCZA GMINNA NA CENZUROWANYM

CD ZE STR. 1

Potrzeby lokalowe są ogromne, a nowych obiektów przybywa bardzo niewiele. W roku 1976 gminne placówki wzbogaciły się o 19 nowych budynków, w roku 1977 — o 19 nowych, w roku 1978 — 15, w 1979 — 22 i w roku 1980 — 14. Aktualnie buduje się 23 obiekty. Tak powolne tempo budowy szkół nie rzuca rytmu poprawy sytuacji oświaty na wsi.

Szczęście w nieszczęściu, że niewiele jest gigantów. Porównanie modeli organizacyjnych szkół gminnych powołanych w latach 1973—78 z placówkami zorganizowanymi w roku 1979, które mają warunki najtrudniejsze, wskazuje na to, że te ostatnie nie są stosunkowo małymi jednostkami pod względem liczby uczniów (od 130 do 300). Dominują placówki z liczbą od 400 do 500 uczniów (20,6 procentu). Mniej, bo 15,1 procentu, mamy szkół liczących ok. 500 do 600 uczniów i najmniej gigantów z ponad tysiącem uczniów, bo zaledwie 3,2 procentu i to najczęściej w miastach i gminach.

Bardzo zróżnicowana jest też sytuacja pod względem liczebności oddziałów; klasy liczą od kilku do kilkunastu do 46 i więcej osób, z tym, że znowu tych najliczniejszych jest odsetek stosunkowo niewielki. W sumie szkoły gminne mają niższy wskaźnik zagęszczenia w oddziałach, niż to obserwujemy w całym szkolnictwie podstawowym. Na przykład w przedziale od 31 i więcej uczniów dla szkół gminnych odsetek ten wynosi 16,2 gdy w całym szkolnictwie podstawowym — 26,2.

Analizując warunki pracy placówek gminnych nie sposób pominąć wyposażenie ich w sprzęt i pomoce dydaktyczne. Według rozszczenia resortu majątek tych szkół w zakresie zestawu minimum waha się w granicach 50—90 procent. Stosunkowo bogaciej wyposażony jest szczebel nauczania początkowego, chociaż i tu występują braki (nie ma rozspanek literowych, tablic poglądowych do kształtowania pojęć liczbowych, rurek szklanych, szkiełek naryzkowych do preparatów itp.). Niezależnie wyposażone są pracownice takich przedmiotów jak fizyka, biologia, chemia, język polski, najślabiej zaś historia, matematyka, język rosyjski, geografia. Pewną pomoc, czasem nawet znaczną, okazują niektóre zakłady opiekuńcze i komitety rodzicielskie, które przeznaczają poważne środki na wyposażenie szkół. Bywało, że zakupywały kompletne urządzenia pracowni.

Niekorzystnym natomiast jawi się duże dysproporcje w majątku gminnych placówek i podległych im fili, na niektórych tych ostatnich, często niestety krzywdzonych przez gminnych dyrektorów. Sondaż przeprowadzony przez pracowników resortu ujawnił także inny niepokojący fakt. Otóż niektóre szkoły gminne, mimo dużych braków w wyposażeniu, nie otrzymują pełnej, należytej im, kwoty ze środków przekazanych województwom przez MOiW. Środki te, wcale zresztą niepełne, stanowią realną próbę wyprowadzenia poradnictwa z kryzysu.

KŁOPOTY Z DOWOŻENIEM

Kolejnym kryterium, jakie powinno być spełniane, aby mogła powstać zbiorcza placówka, są odpowiednie warunki dowożenia uczniów. Z uwagi na dużą liczbę młodzieży dojeżdżającej — a dojeżdża przeszło 645 tysięcy — jest to problem poważny. Liczba dojeżdżających tylko do szkół gminnych, które nie są przecież jedynymi placówkami zbiorczymi, wynosi 504 368, co stanowi 26,6 procentu w stosunku do ogółu tych szkół.

Głównym przewoźnikiem jest PKS, który dowozi około 60 procent uczniów dojeżdżających, z czego 37 procent w kursach pasażerskich (otwartych) i około 23 procent kursami specjalnymi wynajętymi tylko do przewozu młodzieży szkolnej. Na półkę rolnicze przypada około 11 procent, zaś na szkolne środki transportowe 11,5 procentu.

Najwyższe zarówno przez młodzież, rodziców, jak i nauczycieli ceniony jest system zorganizowanego dowożenia, najniższe autobusy pasażerskie, często przepełnione i niepunktualne. Jednak ze względu na sytuację paliwową i trudności z otrzymaniem nowego taboru oraz części zamiennych, nie ma szans na rozszerzenie tej formy dowożenia.

Z omawianych materiałów wynika, że ponad 82 procent uczniów potrzebuje na dojazd do szkoły 30 minut, 17 procent traci nań do 60 minut, a tylko 0,8 procentu więcej niż godzinę. Szkoły czynią wysiłki, aby mimo niedostatku odpowiednich pomieszczeń zapewnić tej młodzieży gorące posiłki, nie wszędzie jednak ze względu na brak zaplecza gastronomicznego jest to możliwe. Nie wszędzie też uczniowie mają do dyspozycji świetlice, gdzie oczekując na godzinę powrotu do domu, mogliby odrobić lekcje, natomiast w punktach zbiorczych w opuszczonych szkołach, czy nawet na ten cel wynajętych pomieszczeniach, zorganizowano dla tej młodzieży poczekalnie.

W sumie dowożenie sprawia dużo kłopotów, jest to nadal problem nie rozwiązany jak należy, taką swoista partyzantką. Są na przykład szkoły, które wszystkim uczniom umożliwiały udział w zajęciach pozalekcyjnych zapewniając im dodatkowe kursy autobusów. W innych jest to absolutnie niewykonalne. Zróżnicowanie pod tym względem jest ogromne, wskaźnik udziału młodzieży w tych zajęciach waha się od 5 do 90 procent ogółu dojeżdżających.

I WRESZCIE KADRA

Pod względem przygotowania nauczycieli uwidacznia się również duże różnice pomiędzy placówkami: obok szkół zatrudniających od 70 do 80 procent kadry z wyższym wykształceniem mamy szkoły gminne, w których odsetek ten nie przekracza 20. Placówki, które powstały w latach 1973—78 zdobyły zapewnić sobie więcej kwalifikowanych specjalistów, powołane w 1979 odczuwają brak.

Tak więc wobec piętrzących się trud-

ności lokalowych, kadrowych, finansowych etc. teoretycznie słuszne założenia nie wszędzie najlepiej sprawdziły się w praktyce. Mając zwłaszcza na uwadze perturbacje z dowożeniem zdecydowano się na reaktywowanie niektórych punktów filialnych lub podwyższenie stopnia organizacji istniejących placówek. W niektórych województwach, jak szeszwoskie, elbląskie, białkopodlaskie takich korekt w sieci szkół dokonano jeszcze w czasie trwania roku szkolnego.

Zakłada się, że od nowego roku szkolnego reaktywowanych będzie w skali kraju około 300 punktów filialnych, zaś w ponad tysiąc nastąpi podniesienie stopnia organizacyjnego. Odciąży to placówki gminne od nadmiaru uczniów. Decyzje wydają się słuszne, czas bowiem zerwać z fikcją, że akceptowaniem placówek kulałych, nie rukujących rozwoju. Przedmiotem troski musi być przede wszystkim uczeń. Jeśli skazujemy go na uciążliwe dojazdy, musimy dać mu coś w zamian — bogatszą wiedzę, lepsze perspektywy dalszego kształcenia, słowem korzystniejsze warunki nauki. Ten nawrót do przywracania małych szkół jest słuszny również z uwagi na najmłodszych, którym należy organizować naukę w miejscu zamieszkania.

POTRZEBA ROZWAGI

Jaka ma zatem przyszłość idea zbiorczości? W obecnych warunkach trudno o dobre rokowania. Założenia są niewątpliwie słuszne, aby jednak znalazły właściwe odzwierciedlenie w praktyce, muszą być spełnione podstawowe warunki: baza, kadra, pomoce oraz rozwiązany problem dowożenia. Wiele z obecnych placówek gminnych pracuje w trudnych warunkach, a mimo to na ogół uczniowie nie osiągają w konkursach przedmiotowych wyników gorszych od swoich rówieśników ze szkół miejskich. Trzeba też podkreślić, że szkoły te zapoczątkowały pozytywne przemiany w oświacie wiejskiej. Dzięki nim poprawiła się struktura organizacyjna szkolnictwa, więcej uczniów zdobywa wiedzę w placówkach wyżej zorganizowanych (wzrost z 70 procent w 1977 roku do 95 procent w 1980 roku). Znalazł też odsetek uczniów objętych systemem klas łączonych. W roku 1979/80 wynosił on już tylko 5,5 procentu, zaś na wsi 11,9 procentu. Organizowanie szkół gminnych działało też stymulująco na budowanie drogi lokalnych i uruchamianie nowych linii PKS. Ma więc ten system poważne zalety, a mógłby mieć bezsprzecznie większe, gdyby był wyrażany w sprzyjających warunkach. Ale skoro tak nie jest, trzeba liczyć się z rzeczywistością, dalszą korektę sieci przeprowadzać z dużą rozważą, aby nie pogłębiać trudności z dowożeniem.

W udostępnionym nam materiale resortu znajdujemy na końcu wnioski, niestety, bardzo ogólne, kierowane do anonimowego adresata. Na przykład: „należy w dalszym ciągu umacniać istniejące zbiorcze szkoły gminne, udzielając im pomocy pedagogicznej i finansowej”. Albo: „wyrównywać istniejące dysproporcje w wyposażeniu szkół”, albo: „stwarzać uczniom dojeżdżającym większe możliwości udziału w różnych formach zajęć pozalekcyjnych”. Albo wreszcie: „udoskonalić funkcjonujący obecnie system dowożenia uczniów do szkół”. Wszystko to trzeba zrobić, tylko pytanie, kto konkretnie i jak oraz kiedy.

DANUTA BUKALOWA

Wydawnictwo
Zawojskie
a rożne
a re-
zegana
teorii
EWICZ
gowice



TE STRONĘ MOŻNA WYWIESIĆ NA TABLICACH OGŁOSZEŃ

ZWIĄZEK W DZIAŁANIU

● INFORMACJE ● KOMUNIKATY ● UCHWAŁY ● REZOLUCJE ●

ZMARTWIENIA, KŁOPOTY, ALE I RADOŚCI

Na pytania odpowiada Jerzy Engel — prezes Zarządu Okręgu ZNP w Częstochowie.

— Jakie sprawy nauczycielskie i związkowe są w Waszym regionie w tej chwili najbliższe?

— Mamy pełnię lata, więc koncentrujemy się na sprawach związanych z wypoczynkiem nauczycieli i ich rodzin. Z czasów, które zapewniał pracodawca, skorzystało około 600 pedagogów, czyli o połowę mniej niż w roku ubiegłym. Wielu odstraszyło się prostu trudności, które przeżywamy. Jak na razie, nie dochodzą jednak do nas sygnały niezadowolonych. Może to świadczyć, że pracodawca nieźle zorganizował wypoczynek pedagogów, choć na ostateczną ocenę czasów trzeba poczekać do września. Właśnie we wrześniu odbędzie się zebranie plenarne, na którym między innymi zajmiemy się wypoczynkiem nauczycieli w Częstochowskim.

Pomyślnie przebiega wypoczynek dzieci nauczycielskich. Miejsce na obozach i koloniach starczyło dla wszystkich chętnych. Cieszy nas, że udało nam się również w tym roku zorganizować dla dzieci naszych związkowców wypoczynek w Bułgarii, nad Morzem Czarnym. Wyjechało 50 dzieci. Pierwszeństwo miały dzieci nauczycieli pracujących na wsi. Obóz ten będzie trwał trzy tygodnie i połączone jest z nauką języków obcych. A więc przyjemne z pożytecznym. Muszę jeszcze dodać, że koszty tego wyjazdu pokryliśmy z naszych funduszy związkowych.

Leży nam bardzo na sercu sprawa ogródków działkowych dla nauczycieli. Chętnych jest naprawdę wielu i myślę, że do września prezydent miasta udzieli nam pozytywnej odpowiedzi w tej kwestii.

Kolejnym, ważnym problemem, który chcemy — jako Związek — rozstrzygnąć, jest kwestia dodatkowych środków żywnościowych dla domów dziecka i internatów. W tej sprawie rozmawialiśmy i będziemy jeszcze rozmawiać z wojewodą. Sprawa musi być załatwiona pozytywnie, choć nie będzie to łatwe. W tej chwili realizacja tego wniosku została częściowo odłożona z powodu wakacji, ale wrócimy do niego wraz z rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

— Chcielibyśmy usłyszeć, jakie sprawy, jakie problemy chcecie rozstrzygnąć wraz z rozpoczęciem nowego roku szkolnego?

— Problemów tych jest wiele, są one zresztą podobne w całym kraju. A więc kwestie mieszkaniowe, budownictwa indywidualnego, zaopatrzenia nauczycieli w książki i podręczniki metodyczne, kwestie związane z prawidłowym zatrudnieniem kadr pedagogicznych.

Ten ostatni problem w naszym województwie wcale nie jest taki oczywisty. Mamy, jak wiadomo, w Częstochowie Wyższą Szkołę Pedagogiczną. W tym roku jej mury opuści 310 absolwentów — magistrów różnych specjalności. Zapotrzebowanie w województwie jest na 60 nauczycieli. Fizyków, chemików, geografów, polonistów nie brakuje w ogóle. Natomiast olbrzymie zapotrzebowanie jest na nauczycieli nauczania początkowego. Tych jednak nie mamy. Chodzi nam więc o przemodelowanie naszej WSP, która powinna przyjmować zdecydowanie więcej kandydatów na kierunku: nauczanie początkowe. Jest to zresztą problem nie tylko naszej WSP, ale chyba ogólnopolski. Mamy zbyt wielu polonistów, brakuje specjalistów dla klas I—III. Myślę, że w tej sprawie potrafimy się dogadać.

— Przejdźmy jednak na nasze związkowe podwórko. Jak pracujecie, jak wyglądają wasze związkowe zebrania, spotkania, dyskusje, jaki jest stan liczbowy organizacji?

— Zaczęć może od tego ostatniego. Jest nas większość: 8500 nauczycieli należy do ZNP. Od pewnego czasu stan ten utrzymuje się, choć notujemy jeszcze tzw. ruch kadrowy. Część nauczycieli nie może się

jeszcze określić, opuszcza szeregi „Solidarności”, przechodząc do nas i odwrotnie.

Zadania, cele i problemy dokładnie określiliśmy. Mamy plan pracy, który staramy się realizować. Raz w miesiącu zbiera się Prezydium Zarządu Okręgu, raz na kwartał plenum. Oczywiście, w praktyce zbieramy się częściej, życie bowiem nie znosi sztywnego trzymywania się planów i wytyczonych ram. Po prostu, trzeba za nim nadążyć. Na przykład plenum przewidziane na wrzesień ma zająć się sprawami wypoczynku, czasów i kolonii. Jednak z pewnością dojdą nowe problemy: na przykład kwestie związane z zatrudnieniem nowych kadr, współpracy z nauczycielską „Solidarnością”, warunków pracy i życia pedagogów, Karty Nauczyciela, trudnej sytuacji w przedszkolach, wreszcie kwestie związane z propagandą Związku na zewnątrz.

— Myślę, że to ostatnie zagadnienie jest niezwykle istotne w aktualnej sytuacji Związku, który walczy o ważne problemy oświaty i nauczycieli. Związkowcy wciąż narzekają na informację. Słyszałem nawet o przypadkach, że członkowie ZNP, niektórzy oczywiście, nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego nasz zjazd obradował w dwu terminach, nie znają statutu, programu, choć był on zamieszczony również w „Głosie Nauczycielskim”.

— Tak, niestety, bywa, choć nasz „Głos Nauczycielski” wszechstronnie pisze i informuje o najważniejszych problemach Związku i oświaty. Osobiście wysoko sobie cenię ostatnią inicjatywę redakcji — chodzi o specjalną stronę zatytułowaną: „Związek w działaniu”, na której zamieszczacie wiele cennych informacji, komunikatów, uchwał i oświadczeń, podejmowanych zarówno w Zarządzie Głównym jak i w okręgach oraz w radach zakładowych. Chodzi więc o to, aby każdy nasz członek czytał „Głos” od deski do deski i żeby tę jedną stronę z „Głosu Nauczycielskiego” wywieszać rzeczywiście na tablicach ogłoszeń naszych rad zakładowych, okręgów, szkół itp. Nie wszyscy to czynią i potem narzekania — nie wiem, nie rozumiem, nie czytałem... Powinniśmy też ściślej współpracować z prasą lokalną.

— W tym roku do naszych szkół przyjdzie kilka tysięcy młodych nauczycieli. Co będziecie czynić, aby zachęcić ich do wstępowania w nasze związkowe szeregi?

— To ważne pytanie. Naszej organizacji potrzebni są ludzie młodzi, prężni, odważni. Myślę, że musimy tym wszystkim młodym nauczycielom przedstawić nasz statut, nasz program działania, zapoznać ich z „Głosem Nauczycielskim”, powiedzieć wyraźnie, jakie prawa, obowiązki i przywileje uzyskują należąc do ZNP. To wszystko nas

jeszcze czeka, gdyż — jak na razie — niewiele zrobiliśmy w tym zakresie. Mówiąc o tym problemie, mam też na myśli nasz aktyw pracujący w szkołach. Problem jest ważny dla nas wszystkich.

— Życzę Waszej organizacji wojewódzkiej wszystkiego najlepszego. Bądźcie aktywni, dbajcie o interesy szeregowych nauczycieli, o ich codzienne sprawy i problemy, a wtedy będą sami gnać się do Was.

— Tak też to widzimy.

Rozmawiał
ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

RZECZOWO KONKRETNIE

Nawiązując do wypowiedzi kolegów z Płocka, zamieszczonej w 27 numerze „Głosu”, w rubryce pt. „Związek w działaniu”, Zarząd Okręgu ZNP w Kielcach informuje, że również wojewoda kielecki podjął konkretne ustalenia istotne dla nauczycieli oraz pozostałych pracowników oświaty naszego województwa.

Prezydium Zarządu Okręgu ZNP w pełnym składzie zostało przyjęte dwukrotnie przez wojewodę, w wyniku czego doszło do podpisania 12 marca bieżącego roku porozumienia. Wówczas to zrobiono pierwszy krok, o czym informował artykuł, opublikowany w 14 numerze „Głosu” z 5 kwietnia bieżącego roku.

Dalsze nasze kontakty z władzami doprowadziły do wydania przez wojewodę 13 maja bieżącego roku pisma skierowanego do prezydentów, naczelników miast i gmin. Jest ono konsekwentną realizacją porozumienia z 12 marca bieżącego roku.

W piśmie tym wojewoda między innymi zobowiązał naczelników i prezydentów do uwalniania mieszkań zakładowych oświaty od ludzi nie związanych z tym zawodem, do przekazywania mieszkań zwalnianych przez pracowników oświaty wyłącznie pracownikom oświaty, do zlikwidowania zjawiska dopłacania przez nauczycieli do mieszkań tam, gdzie przysługują im bezpłatne lokale. W celu rozwoju budownictwa indywidualnego nauczycieli wojewoda polecił także przeprowadzić do 30 czerwca bieżącego roku rewindykację działek przyszkolnych na rzecz oświaty, zobowiązał do umożliwienia nabywania działek z PFZ lub działek budowlanych na terenie miast, udzielania daleko idącej pomocy w nabywaniu materiałów budowlanych. Zobowiązano ponadto władze terenowe do traktowania nauczycieli

ubiegających się o mieszkanie, jako osób niezbędnych w danej miejscowości. Wojewoda zobowiązał również naczelników gmin i miast do priorytetowego zaopatrzenia placówek oświatowych w węgiel, do ułatwienia nauczycielom zakupu węgla i traktowania — przy przydziale węgla — pedagogów mających działki od 0,5 do 1 ha, nie jak rolników, lecz jak nauczycieli, a także do pełnego realizowania postanowień „Karty” w sprawie bezpłatnego dowozu opału.

Dwa tematy, a mianowicie realizacja wniosków i postulatów pracowników oświaty i wychowania, które kierowane były do władz wojewódzkich oraz sprawa polepszenia sytuacji mieszkaniowej nauczycieli w województwie kieleckim rozpatrzone zostały 25 maja bieżącego roku, na wspólnym plenarnym posiedzeniu Zarządu Okręgu ZNP oraz Komisji Wychowania, Oświaty, Nauki i Kultury WRN w Kielcach. Poprzedziła je konsultacja dokonana przez kierownictwa Zarządu Okręgu ZNP i Prezydium Komisji oraz wspólne kontrole w jednostkach podstawowych przeprowadzone przez mieszane zespoły złożone z członków Zarządu Okręgu ZNP i Komisji WRN.

Obecnie Kuratorium Oświaty i Wychowania opracowuje „Raport o sytuacji mieszkaniowej nauczycieli i kierunkach poprawy w tym zakresie na lata 1981—1985”. Ponadto wspólnie z lekarzem wojewódzkim przygotowuje program polepszenia opieki lekarskiej pracowników oświaty i wychowania na naszym terenie. Pierwszy dokument zostanie przedłożony Zarządowi Okręgu ZNP w terminie do 31 lipca bieżącego roku, a drugi — do 15 sierpnia bieżącego roku. O konkretnych efektach tych wszystkich postanowień poinformujemy redakcję w terminie późniejszym.

FUNDUSZ IM. „ROBOTNIKÓW WYBRZEŻA”

W dalszym ciągu napływają sumy pieniężne na konto Funduszu Pomocy Stypendialnej im. „Robotników Wybrzeża”. Oto kolejne zgłoszenie.

Nauczyciele z Piekar Śląskich zrzeszeni w Związku Nauczycielstwa Polskiego i NSZZ „Solidarność”, doceniając celowość i humanitarny aspekt akcji ogłoszonej przez Zarząd Główny ZNP, przekazali na fundusz kwotę w wysokości 7 310 zł zadeklarowaną jednorazowo przez 139 osób.

nego wynagrodzenia. Czy to jest zgodne z obowiązującymi przepisami?

ODPOWIADAMY

W myśl zarządzenia ministra oświaty i wychowania (Dz. Urz. Min. Ośw. i Wych. nr 12, poz. 100 § 88 z 1973 r.) w brzmieniu ustalonym zarządzeniem min. ośw. i wych. z 1 marca 1976 r. zmieniającym zarządzenie w sprawie przepisów wykonawczych dotyczących praw, obowiązków i uposażeń nauczycieli (Dz. Urz. Min. Ośw. i Wych. nr 2 poz. 13 z 1976) oraz pisma MOiW z 17 marca 1973 r. nr EO-Z2-1013, 120/73, z nauczycielem-emerytem zatrudnionym w niepełnym wymiarze godzin (na pół etatu i więcej), który ma prowadzić zajęcia dydaktyczne przez cały okres zajęć w danym roku szkolnym — umowę o pracę zawiera się na cały rok szkolny (12 miesięcy).

Koleżanka powinna zatem mieć umowę o pracę zawartą na cały rok szkolny, obejmującą również i ferie szkolne i za cały też rok szkolny przysługuje Wam wynagrodzenie.

Zaznaczamy przy tym, że nauczyciel-emeryt lub rencista zatrudniony w szkole lub placówce oświatowo-wychowawczej może zarabiać rocznie tj. od 1 stycznia do 31 grudnia — 36 tys. zł, a jeśli ma wyższe wykształcenie — 42 tys. zł (Podstawa: Dz. Ustaw RP nr 28, poz. 125 z 1980 r.)

PYTAJ — ODPOWIEMY

W „Głosie Nauczycielskim” z 7 czerwca, w artykule pt. „Śladami umowy” przeczytałam, że podwyższone zostały wynagrodzenia za opiekę nad bibliotekami szkolnymi. Prowadzę bibliotekę liczącą ponad 5 tys. woluminów. Za pracę tę otrzymuję wynagrodzenie miesięczne — 600 zł (bez wakacji, za 10 miesięcy). Czy jest to wynagrodzenie właściwe? Zaznaczam, że szkoła liczy 350 uczniów.

ODPOWIADAMY

Zgodnie z pismem ministra oświaty i wychowania z 11 grudnia 1980 r. na EO-Z2-1013 111-IICz/80 kwoty wynagrodzenia nauczycieli opiekujących się biblioteką szkolną w szkołach, w których nie ma stanowiska etatowego bibliotekarza, począwszy od 1 października 1980 r. wynoszą:

a. 300 zł miesięcznie w szkołach posiadających biblioteki, w których księgozbiór nie przekracza 300 tomów. Wynagrodzenie w tej wysokości przysługuje również nauczycielom sprawującym opiekę nad bibliotekami w punktach filialnych szkół;

b. 600 zł miesięcznie w szkołach posiadających biblioteki liczące ponad 300 tomów, przy liczbie uczniów do 200;

c. 900 zł miesięcznie w szkołach posiada-

jących biblioteki liczące ponad 2000 tomów, przy liczbie uczniów od 201 do 400;

d. 1200 zł miesięcznie w szkołach posiadających biblioteki mające ponad 3000 tomów, przy liczbie uczniów ponad 400.

Z treści zatem tego pisma wynika, że Koleżance, której pytanie zamieściliśmy wyżej, przysługuje od 1 października 1980 r. wynagrodzenie w wysokości 900 zł miesięcznie. Jednocześnie wyjaśniamy, że zgodnie z par. 128 zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 2 lipca 1973 r. w sprawie przepisów wykonawczych dotyczących praw i obowiązków nauczycieli (Dz. Urz. Min. Ośw. i Wych. nr 12, poz. 100) za zajęcia związane z opieką nad biblioteką szkolną przysługuje wynagrodzenie również w okresie urlopu wypoczynkowego według średniej z ostatnich 3 miesięcy.



Jestem emerytowaną nauczycielką. Zostałam zatrudniona w charakterze nauczycielki na 14 godz. lekcyjnych na cały rok szkolny. Pracowałam od początku roku szkolnego do końca zajęć. Płacono mi miesięcznie za odbyte godziny, według stawek za godziny ponadwymiarowe. Za okres ferii zimowych i letnich nie otrzymuję żad-

W środowisku nauczycielskim trwają gorące dyskusje dotyczące zarówno sytuacji szkoły jak i nauczyciela. Na ten temat rozmawiamy z koleżanką **ELŻBIETĄ DRABCZYK**, nauczycielką matematyki w Szkole Podstawowej w Pniewie, województwo ostrołęckie.

NASZ DZIEŃ POWSZEDNI

— Już ponad 25 lat pracuje Pani w szkole wiejskiej. Co się w niej przez te lata zmieniło?

E. DRABCZYK: — Jeśli chodzi o warunki lokalowe, to nie. Od 27 lat rodzice i nauczyciele występują o budowę nowej szkoły. Nawet zebrano już pewne fundusze, które niedawno trzeba było znowu zwracać rodzicom. Ciągłe władze wojewódzkie, gminne albo nie wyrażają zgody, albo obiecają rozpoczęcie budowy w kolejnych pięciolatkach. W ostatnich latach — ich zdaniem — ważniejsza była rozbudowa szkoły gminnej. W ten sposób do dzisiaj prowadzą lekcje w starych, rozpadających się budynkach.

Zmieniły się natomiast dzieci. Łatwiej przyswajają sobie materiał niż ich rodzice. Duża w tym zasługa przedszkola. Sześcioletki uczą się w tzw. klasie zerowej (w tym roku, w naszej szkole, po raz pierwszy wszystkie). Przychodząc do szkoły, potrafią już czytać, umieją współpracować w grupie. Dzieci są tak samo zadbane jak w mieście, chociaż nie tak wyrosnięte i odżywione. Na lekcjach widać przemęczenie pracą w gospodarstwie, dochodzeniem do szkoły 3—4 kilometrów. Brak stołówki uniemożliwia im spożycie gorącego posiłku w czasie wielogodzinnego pobytu w szkole.

Również rodzice nie są tacy sami, jak wtedy, gdy zaczynałam pracę. Młode małżeństwa są bardziej opiekuńcze, interesują się swoimi dziećmi, kontaktują się z nauczycielami, działają aktywnie w komitecie rodzicielskim. Oczywiście, wśród nauczycieli też zaszły zmiany. W naszej gminie zdecydowana większość pedagogów zdobyła lub zdobywa wykształcenie wyższe.

Jednak trochę niepokoją mnie młodzi nauczyciele. Zauważam u nich zupełny brak zaangażowania w pracę wychowaw-

czą. Wyznają zasadę: odwalić lekcje i na tym koniec. Nawet nie myślą o tym, żeby zainteresować się domem rodzicielskim. Chyba uczelnia nie przygotowała ich do pracy wychowawczej. Świetnie natomiast znają swój przedmiot. Potrafią uczyć, ale nie potrafią wychowywać.

— Zapoczątkowana w drugiej połowie lat siedemdziesiątych reforma programów szkolnych budzi nadal kontrowersje, tak wśród nauczycieli, jak i wśród rodziców. Jakże jest Pani zdanie na ten temat?

E. DRABCZYK: — Trudno reformę ocenić jednoznacznie. Na pewno wprowadzone nowe programy są zbyt trudne, przeładowane, wiele partii materiału jest zbędnych. Mimo to jestem zadowolona z nowej koncepcji nauczania matematyki. Przedmiot ten stał się bardziej atrakcyjny dla uczniów, uczy logicznego myślenia, rozwija wyobraźnię. Niestety, w obecnych warunkach (wobec braku pedagogów, zajęć wyrównawczych, przeciążenia nauczyciela godzinami nadliczbowymi, przepełnienie klas) tylko nieliczni uczniowie, bardzo zdolni, mogą opanować cały materiał.

Podoba mi się nowe podręczniki. Mają ciekawą szatę graficzną, nieschematycznie wprowadzają do tematów. Ale mają jedną podstawową wadę: są bardzo słabo wykonane. Po roku rozsypują się.

Nadal odczuwamy ogromny niedostatek sprzętu i pomocy naukowych dla szkół. Nie ma ławek, kredy, tablic i pieniędzy. „Cezas” był i jest zupełnie nieprzygotowany do reformy programowej. Jeśli nawet są pieniądze, to nie można ich kupić. To, co się oferuje, jest w większości dziełem prywatnych wytwórców, najczęściej nietrwałych, prymitywnych, rażących swą nieestetyczną formą. Na przykład niedawno szkoła zakupiła geoplany, wykonane przez producenta z Gdańska, zupełnie nie nadające się do

wykorzystania. Inna sprawa to plansze; można dostać tylko fotograficzne, bardzo drogie.

— Od kilku lat na wsi istnieją szkoły zbiorcze. Jak Pani ocenia ich funkcjonowanie na Waszym terenie?

E. DRABCZYK: — Do Gminnej Szkoły Zbiorczej w Zatorach, po likwidacji małych szkół, dojeżdża około 150 dzieci. Są one dowożone starą „Nysą” i przyczepą traktorową, nie bez powodu nazywaną „budą”. Traktor jest wypożyczany z SKR.

Wyniki nauczania w szkole gminnej nie są wcale lepsze niż u nas w szkole filialnej — mówię to chociażby na podstawie wyników olimpiad przedmiotowych. Mimo to szkoła gminna jest preferowana, przydzielają jej nieproporcjonalnie więcej środków finansowych, jej nauczyciele (nie zawsze w pełni zasłużeni) otrzymują większe nagrody.

— Ostatnio wprowadzono szereg postanowień, które mają na celu przyciągnięcie młodych nauczycieli do pracy na wsi. Czy można spodziewać się, iż okażą się skuteczne?

E. DRABCZYK: — Absolutnie, nie. Nawet gdyby obiecywano złote góry, młodzi nie przyjdą na wieś, jeżeli nie poprawi się sytuacja mieszkaniowa. Gdy lekarz przychodzi na wieś, otrzymuje mieszkanie z wygodami w ośrodku zdrowia. Nauczyciel nie ma takich perspektyw. Najczęściej wynajmuje mu się jakieś mieszkanie u gospodarzy, przeważnie lokal o niskim standardzie, bez wygod.

Inną, nie mniej ważną, sprawą jest lek młodych dziewcząt przed samotnością. Silne sfeminizowanie zawodu zmusza je do poszukiwania mężów w innych środowiskach. Na wsi wybór jest szczególnie zawężony: lekarz i agronom przychodzą na wieś z reguły już z żonami, chłop nie weźmie nauczycielki, bo nie pomoże mu w gospodarstwie, pozostaje tylko traktorzysta lub jakiś urzędnik. Nie ma żadnych rozrywek, każdy zamyka się w czterech ścianach. Nie ma gdzie pociągnąć, wstąpić do kawiarni, iść do kina czy teatru. Jeżeli ktoś załatwi bilety, to na taką sztukę, na którą bilety można dostać bez trudu.

Brak jest specjalistycznej opieki lekarskiej, o stomatologicznej w ogóle nie ma co mówić. Z młodą kadrą jest jeszcze nie-

źle tam, gdzie jest blisko ośrodków miejskich i dobra komunikacja.

— Jak przyjmowane są wolne soboty w szkołach wiejskich?

E. DRABCZYK: — Sądzę, że bardzo się przydadzą. Będzie lepsza frekwencja w pozostałe dni tygodnia. W sobotę dzieci będą mogły pomóc rodzicom. Na naszym terenie dużo jest tzw. chłopów-robotników, którzy codziennie o 6.00 rano wyjeżdżają z domu, a późnym wieczorem wracają z powrotem, prawie nie widzą się z rodziną. Wolne soboty umożliwią, tak ważny wychowawczo, większy kontakt ojca z dziećmi.

W dodatkowe wolne dni znalazłyby się czas na działalność kulturalną, sportową, turystyczną, umożliwiono by pracę z uczniem zdolnym w kółkach zainteresowań prowadzenie zajęć dla uczniów mających trudności z nauką.

— W jaki sposób można zmniejszyć różnicę między szkołą wiejską a miejską?

E. DRABCZYK: — O wielu sprawach już powiedziałam. Dodałabym jeszcze potrzebę objęcia wszystkich sześciolatek wychowaniem przedszkolnym, rozwijania życia kulturalno-oświatowego poza lekcjami. Niezbędne są bogato zaopatrzone, otwarte cały dzień biblioteki i świetlice.

— We wszystkich środowiskach trwa dyskusja na temat związków zawodowych. Jak wygląda to w Pani szkole?

E. DRABCZYK: — Pozostaliśmy przy ZNP. Ma on bogate doświadczenia, długą tradycję. Uważamy, że zawsze chciałoby być, tylko nie mógł wiele zrobić. Na dole zawsze wybieraliśmy ludzi, do których mieliśmy zaufanie, nauczycieli rzeczywiście oddanych pracy związkowej. Zaproszone władze wojewódzkie nawet nie przyjeżdżały na zebrania. Do terenowych ogniw Związku nie docierały chociażby informacje o czasach zagranicznych, miejscach w sanatoriach.

Jesteśmy natomiast i byliśmy zawsze zadowoleni z działalności Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej; wielu ludziom ona pomogła, prawie wszyscy nauczyciele są jej członkami. Nie pomijano też emerytów i rencistów.

— Dziękuję za rozmowę.

SZYMON BARD

NOWOŚCI NADEŚLANE

LITERATURA PIĘKNA

Bułat Okudźkawa: **WĘDRÓWKI DYLETANTÓW**. PIW, Warszawa 1981, cena 1 t/11 70 zł.
Zbigniew Domino: **BŁĘDNE OGNIEM**. MON, Warszawa 1981, s. 308, cena 36 zł.
Jan Drzeżdżon: **ROZKOSZE MIŁOŚCI**. Wyd. Łódzkie, Łódź 1981, s. 199, cena 25 zł.
Czesław Czerniawski: **DZIEŃ DZISIEJSZY, DZIEŃ WZORZYSZY**. MON, Warszawa 1981, s. 273, cena 25 zł.
Danuta Kostewicz: **JASNIEJSZY ODCIEN SZABOŚCI**. Ossolineum, Wrocław 1981, s. 157, cena 20 zł.
Eino Leino: **PIĘŚNI KSIĘCIA JANA I KATARZYNY JAGIELLONKI**. PIW, Warszawa 1981, s. 67, cena 20 zł.
Stanisław Chaciński: **WIERZĘ WYBRANE**. Wyd. „Śląsk”, Katowice 1981, s. 126, cena 12 zł.
Władysław Orłowski: **DYNASTIA BEZ HERBU**. Wyd. Łódzkie, Łódź 1981, s. 188, cena 25 zł.
Jarosław Iwaszkiewicz: **PETERSBURG**. PIW, Warszawa 1981, s. 68, cena 25 zł.
Charles Baudelaire: **KWIATY ZŁA**. Wybór. PIW, Warszawa 1981, s. 130, s. 130, cena 20 zł.
Jan Nikodem Jaroń: **O NIC NIE PROSZĘ**. Wyd. „Śląsk”, Katowice 1981, s. 70, cena 30 zł.
Ambrose Bierce: **CZY TO SIĘ MOGŁO ZDARZYĆ?** WL, Kraków 1981, s. 121, cena 25 zł.
Władysław Terlecki: **ROŚNIE LAS**. PIW, Warszawa 1981, s. 103, cena 20 zł.
Miroslaw Boruszewski: **WYWIADY**. Wyd. „Śląsk”, Katowice 1981, s. 64, cena 12 zł.

WSPOMNIENIA, OPRAWOWANIA

Kazimierz Przytocki: **WOJNA, CZŁOĞI I DZIEWOZCZYNY**. MON, Warszawa 1981, s. 389, cena 55 zł.
Jurij Gagarin: **DROGA W KOSMOS**. MON, Warszawa 1981, s. 403, cena 55 zł.
Piotr Ściegienny: **EWANGELIA I REWOLUCJA**. Wybór pism. KIW, Warszawa 1981, s. 230, cena 50 zł.
Stanisław Podrygłło: **NAUCZYCIEL Z URODZENIA**. LSW, Warszawa 1981, s. 336, cena 60 zł.
Krystof Morawski: **WSPOMNIENIA Z TURWY**. WL, Kraków 1981, s. 235, cena 75 zł.

HISTORIA, IDEOLOGIA, POLITYKA

Leszek Siemion: **CZAS KOWPAKÓW**. Wyd. Lubelskie Lublin 1981, s. 398, cena 65 zł.
Roman Tokarczyk: **SZKICE Z MYŚLI POLITYCZNEJ MARKSIZMU**. Wyd. Lubelskie, Lublin 1981, s. 146, cena 24 zł.
Praca zbiorowa: **POLITYKA ZAGRANICZNA**

APEL HARCERZY Z ZAMOŚCIA

Komisja Historyczna Rady Chorasgi im. Dzieci Zamojszczyzny w Zamościu zwraca się z uprzejmą prośbą do byłych harcerzy i harcerzy oraz sympatyków harcerstwa o nadesłanie swoich wspomnień z okresu międzywojennego, okupacji czy też po odzyskaniu niepodległości. Prace powinny zawierać bogaty opis obywatelskości, zdarzeń itp. Wskazana jest odpowiednia dokumentacja w postaci fotografii, afiszy, ulotek itp. Objętość opisu nieograniczona (co najmniej dziesięć stron) i czytelna.

Ostateczny termin składania prac upływa 30 września bieżącego roku. Autorzy najlepszych prac będą wyróżnieni nagrodami pieniężnymi, a w przypadku młodzieży wyjazdami na oboz zagraniczny lub sprzętem turystycznym.

Nadesłane materiały, będą służyły opracowaniu zbiorczej monografii Związku Harcerstwa Polskiego na Zamojszczyźnie oraz wzbogacą Izbę Pamięci poświęconą tej chlubnej organizacji młodzieżowej w 70-lecie jej istnienia.

Komisja Historyczna zastrzega sobie prawo publikowania ciekawszych prac w prasie lokalnej lub harcerskiej.

Prace lub pamiątki (nawet do wypożyczenia) należy nadsyłać pod adresem: Komisja Historyczna Rady Chorasgi ZHP im. Dzieci Zamojszczyzny w Zamościu, 22-400 Rynek Wielki 5, z dopiskiem na kopercie „70-lecie harcerstwa”.

PRACOWNICY POSZUKIWANI

Nauczyciel matematyki, fizyki, wychowania fizycznego, wychowania technicznego po SN i wyższych studiach zawodowych podejmij pracę w szkole od 1.9.81 r. Warunek: otrzymanie mieszkania rodzinnego. Oferty 7716, Biuro Ogłoszeń, Katowice, ul. Młyńska 1

SZKOŁA PODSTAWOWA W MARZECINIE, woj. Elbląg, tel. 81, zatrudni z dniem 1 września 1981 r. specjalistę do nauczania początkowego. Zapewnia się mieszkanie dwupokojowe, łazienka, c.o.

GMINNY DYREKTOR SZKÓŁ W LIPNIE woj. łeszczynskie, tel. 50 zatrudni od 1 września małżeństwo nauczycielskie, w tym polonistę. Dobre warunki pracy, mieszkaniowe i komunikacyjne.

GMINNY DYREKTOR SZKÓŁ W KRASNOSIELCU, woj. ostrołęckie zatrudni z dniem 1 września 1981 r. dwóch nauczycieli z wyższym wykształceniem (najchętniej małżeństwo nauczycielskie) o specjalności filologia rosyjska i wychowanie fizyczne w Szkole Podstawowej w Dąrdziewie. Zapewnia się mieszkanie służbowe — 2 pokoje z kuchnią i łazienką w Domu Nauczyciela.

OGŁOSZENIA DROBNE

SZTANDARY SZKOLNE I HARCERSKIE wykonuje wyspecjalizowana Pracownia „Haft Artystyczny” — mistrzowie Zofia i Henryk Kiedzik, 61-592 Poznań, ul. Kościuszki 78 (narożnik ul. Armii Czerwonej 77) telefon 502-14. Nagrodzona medalami gwarantuje najwyższą jakość wykonania oraz dotrzymuje terminów. Szeroka rozpiętość cen.

Zmarł w wieku 49 lat

Kol. MARIAN KANIEWSKI

wieloletni nauczyciel szkół ziemi łęczyckiej, zastępca inspektora szkolnego, dyrektor Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Łęczycy, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

W Zmarłym tracimy serdecznego Kolegę, prawego człowieka, zaangażowanego działacza związkowego i społecznego.

Cześć Jego Pamięci!

Inspektor Oświaty i Wychowania
Rada Pedagogiczna L.O.
Oddział Miejski ZNP w Łęczycy

Zmarła w wieku 77 lat

Kol. HALINA JASIŃSKA

organizatorka szkolnictwa na terenie byłego powiatu sułcińskiego, pierwszą kierowniczką, a następnie nauczycielką Szkoły Podstawowej nr 2, długoletnią prezes Zarządu Oddziału ZNP w Sułcinie, w okresie wojny nauczycielką w polskiej Szkole — Internacie w Nijei (ZSRR) oraz sekretarz Związku Patriotów Polskich w tej miejscowości, wychowawczyni wielu pokoleń młodzieży, ciesząca się dużym autorytetem wśród uczniów, nauczycieli i rodziców, odznaczona Tytułem Honorowym „Zasłużony Nauczyciel PRL”, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotą Odznaką ZNP, odznaką Zasłużonej dla Rozwoju Woj. Zielonogórskiego.

Cześć Jej Pamięci!

GŁOS NAUCZYCIELSKI

TYGODNIK ZNP

Redaguje zespół: **Danuta Bukalowa** (kierownik działu listów i interwencji), **Hugon Bukowski**, **Danuta Chrzczonowicz** (sekretarz redakcji), **Czesław Górski** (redaktor techniczny), **Zenobia Miller** (kierownik działu szkolnego), **Zbigniew Pawłowski** (redaktor naczelny), **Hanna Polakiewicz**, **Krzysztof Rogalski** (kierownik działu nauki), **Maria Rybaczek** (zastępca redaktora naczelnego), **Halina Szymczak**, **Henryka Witałowska** (kierownik działu kultury i wychowania), **Jan Rocki**, (redaktor graficzny), **Kierownik administracyjny — Aniela Pawlak**, **Korekta: Irena Kościelniak**, **Zdzisława Jedlińska**. Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8. 00-389 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Ogłoszenia przyjmują: Biuro Ogłoszeń Wydawnictwa Współczesnego, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, tel. 28-24-11 wew. 32 lub 29 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” w miastach wojewódzkich. Ceny ogłoszeń: reklama i ogłoszenia handlowe — 41 zł za 1 cm. kw. ogłoszenia urzędowe, komunikaty — 45 zł za 1-cm kw., ogłoszenia drobne — 12 zł za wyraz. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następny; do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze roku bieżącego; do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty kwartalnie 65 zł; półrocznie 130 zł; rocznie 260 zł. Jednostki gospodarki społecznej, instytucje, organizacje wszelkiego rodzaju, zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziału RSW — w urzędach pocztowych. Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę otrzymuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Sprzedaż egzemplarzy zderaktualizowanych na uprzednie piśmie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, a w razie publikacji zastrzega sobie prawo ich skracania.

Druk: Prasowe Zakłady Graniczne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa.

Nr indeksu 35823

Zam. 1806. L-127.

KIELCE, SIERPIEŃ I LUCJUSZ KOMARNICKI

Być może, iż ten i ów czytelnik jest zdania, że zupełnie niepotrzebnie zorganizowano w lipcu — w chwili, gdy przeżywamy tak dramatyczną sytuację ekonomiczną — harcerski festiwal kultury młodzieży szkolnej. Nie podzielał tego poglądu. Co jednak nie znaczy, że spoglądam z zachwytem na owe liczne festiwale, zwłaszcza piosenki, które nadal rozkwitają w najlepsze w całym kraju, jak gdyby nie się u nas w ciągu ostatniego roku nie zmieniło i jakby nie należało dokonać i w tej materii sensownej i zdecydowanej reformy.

Jeśli cieszy mnie fakt, że mimo wszystko — bo sprawa ważyła się dość długo — ów festiwal w Kielcach zorganizowano, to po pierusze dlatego, że zmienił on bardzo w tym roku swój charakter: był znacznie skromniejszy, nie przyznawano żadnych nagród, a po wtóre — i jest to względem najistotniejszy — że to po prostu impreza potrzebna wychowaniu, że kryje się w niej (co, naturalnie, nie znaczy, że owe kryjące się w niej możliwości są zawsze, w pełni i jak należy wykorzystywane) ogromna wartość pedagogiczna.

Własny ruch artystyczny młodzieży — podkreślam: naprawdę własny, a nie jego parodia — to przecież w swoich najlepszych wcieleniach zjawisko arcyenne: świeże i twórcze. Autentyczne. Zaspokajające chyba w sposób szczególnie pełny potrzeby ekspresyjne młodych. Potrzeby, które właśnie dziś, gdy całe nasze społeczeństwo, w tym również piętnasto- i siedemnastolatki, niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy też nie, chcą mówić bezpośrednio od siebie o tym, co ich najbardziej cieszy, trapi i niepokoi — dają o sobie znać ze szczególną siłą. Bo ci młodzi chcą mówić za pośrednictwem własnej piosenki, własnej melodii, własnych prac plastycznych, własnego teatru.

Dlatego może nie od rzeczy będzie przy-

pomnienie, że teatr szkolny ma w Polsce bogatą historię i tradycję: istnieje przecież niemal pięć wieków. Że to właśnie w naszym kraju działał Jan Amos Komenski, który widział w teatrze szkolnym skuteczny środek zachęcający obojętnych uczniów do aktywności. Że głównym celem teatru uczniowskiego Collegium Nobilium było kształtowanie ideałów obywatelskich...

Choć na temat artystycznej twórczości amatorskiej w dobie obecnej zdania są podzielone, choć niemało w tej twórczości przejawów budzących obawy i niepokój zarówno ludzi kultury, jak i pedagogów, to przecież fakt, iż ożywiła się ona w naszym kraju tak wyrażnie po sierpniu, dowodzi chyba, iż rodzi się z autentycznych potrzeb i pragnień, że może rzeczywiście wyrażać najgłębsze tęsknoty i emocje tych, którzy w niej uczestniczą.

A rzeczą mecenasów i wychowawców jest przychodzenie temu ruchowi z życzliwością, mądrą radą i pomocą. Umiejętne przypominanie mu, że właśnie rozwój osobowości i samorealizacja — największa wartość naszego systemu ustrojowego — to główne dziś zadanie tego ruchu.

I kto wie, czy właśnie nie obecnie nabierają szczególnego znaczenia słowa wybitnego propagatora teatru samorodnego młodzieży, Lucjusza Komarnickiego, który kilkadziesiąt lat temu pisał: „Dobry teatr — to ruch, skrzydła, nowe horyzonty, głęboki oddech, myśl przenikliwa, skok w przyszłość, skonsolidowanie charakteru, wiara w siebie, zachęta, wezwanie losu (...)”.

I nawet, gdy weźmiemy pod uwagę, iż wielki miłośnik teatru młodych trochę tu przesadził — właśnie dziś warto poświęcić temu zjawisku nieco więcej uwagi. I to nie tylko w obydwu zainteresowanych resortach. Między innymi nie można zaprzepaścić tego, co dał w ostatnich latach — co może dać — temu ruchowi młodych, festiwal kielecki. Zmieniajmy go przeto, ulepszajmy, czynimy jeszcze skromniejszym — jak to właśnie miało miejsce w bieżącym roku — ale nie likwidujemy. Nieprzeżnana chęć do likwidatorstwa, która ostatnio nas opanowała skierujmy może w nieco inną stronę. Mało to wciąż jeszcze w naszym szkolnictwie, mało w harcerstwie — głównym inicjatorze kieleckiej imprezy — nawyków i praktyk, które aż się proszą, by definitywnie i jak najszybciej pożegnać się z nimi?

HENRYKA WITALEWSKA

NA ŁAMACH PRASY

Cztery dni po zjeździe partii ukazał się w „Polityce” (nr 30) refleksyjny artykuł Jerzego Urbana, który pisze, iż zdarzenie noszące nazwę IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR określone jest jako wydarzenie nowe, zaskakujące czy nawet sensacyjne tylko przez obserwatorów i komentatorów zagranicznych. Ewentualnie kibiców dramaturgii politycznej. Bowiem „w skali krajowej powtórzyło się właściwie to samo, co wcześniej nastąpiło po kolei w większości miast i województw na tamtejszych konferencjach. Podobnego rodzaju ludzie, kierujący się identycznymi celami, wyrażający takie same emocje i reprezentujący ten sam typ rozsądku, tworzący też większość polityczną tego samego kierunku niechętną tym samym skrajnościom — powtórzyli wśród marmurów Sali Kongresowej operację znaną już z wielu skromnych sal (...) Dwa tysiące ludzi przyjechało do Warszawy dobrze wiedząc, czego chcą. Byli to trzy rzeczy. Po pierwsze chcieli oni samodzielnie i suwerennie o wszystkim decydować oraz zapewnić sobie i wielu podobnym tę możliwość na przyszłość. Po drugie ukarać tych, którzy uprzednio samodzielnie i suwerennie decydowali ze złym dla kraju i partii skutkiem. Po trzecie złamać potęgę aparatu partyjnego, odbierając mu władzę.

Wszystkie te trzy rzeczy to właściwie jedna i ta sama rzecz. Została ona dokonana z żelazną determinacją bez wahania (...) Oczywiście, odebranie i przejęcie władzy w partii nie było jedynym celem motywującym poczynanie delegatów. Wieźli oni obfite pakiety spraw kraju, regionu, branży, swej dziedziny życia, jakie chcieli złatwić. Tu jednak intencje, zainteresowania i poglądy były różnorodne. Ja zaś mówię o zdecydowanym programie głównym, jednoczącym całą salę”.

I jeszcze jedna refleksja na ten temat zasługująca na uwagę: „Zjazd uzewnętrznił również fakt odrodzenia się PZPR jako masowej i wpływowej organizacji politycznej. Po sierpniu partia ta, czymkolwiek była poprzednio (...) zapędzona została w kozi róg. Została z niej de facto tylko organy kierujące i wysepki aktywności o rozmaitej politycznej tożsamości. Potem w partii panował ruch, następowało odzyskiwanie siły i tożsamości, jednakże PZPR odżywała upojona sama sobą. Jeszcze i na zjeździe zafascynowanie sprawami wewnątrzpartyjnymi górowało nad zainteresowaniem sprawami kraju i społeczeństwa. Nadto zjazd w minimalnym tylko stopniu wyczuwał międzynarodowe znaczenie, międzynarodowy kontekst swoich poczyną. Polska jawiła mu się odosobnioną wyspą.

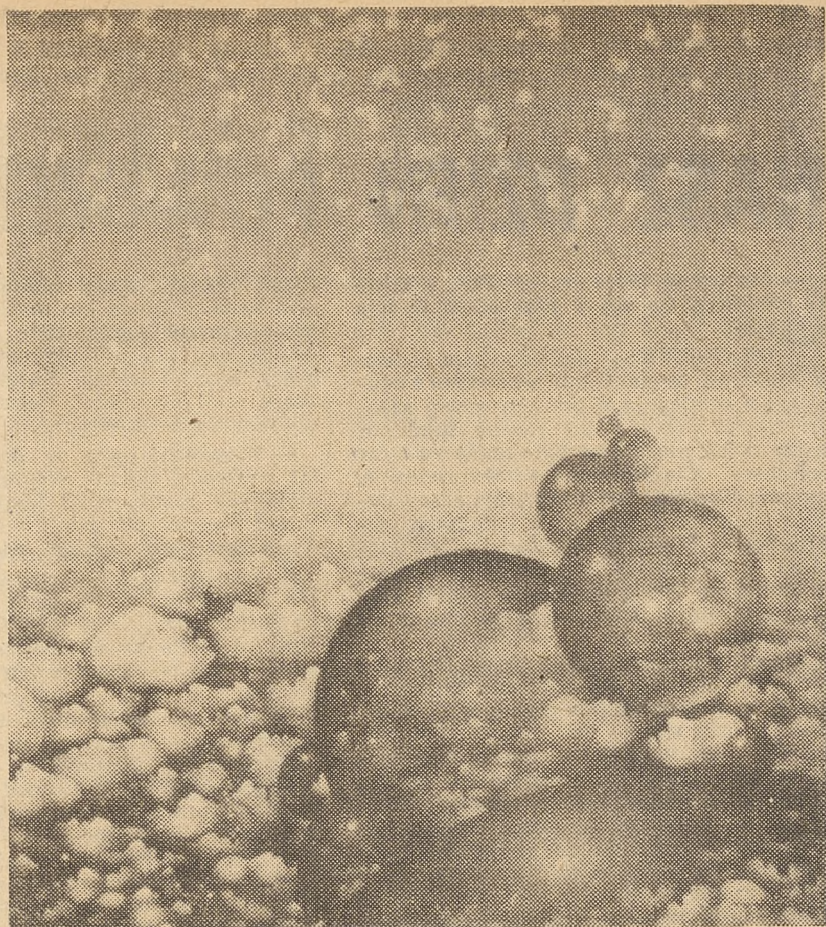
Trzymilionowa rzesza członków PZPR osiągnęła na IX Zjeździe wszystkie w zasadzie cele o charakterze wewnątrzpartyjnym, przebudowała strukturę partii, przebieściła w dół punkt ciężkości władzy w PZPR. Można przypuszczać, iż teraz silniej otworzy się ona na to, co dzieje się w świecie i kraju (...) IX Zjazd po części sprawił, po części zaś tylko uzmysłowił to, że PZPR staje się siłą realną, która chce i może walczyć o władzę, o wpływy, o umysły ludzkie, o kształt poszczególnych rozwiązań ustrojowych”.

O demokracji i sprawiedliwości społecznej dyskutujemy teraz ciągle, nie zawsze z pełnym znanstwem trudnego bądź co bądź tematu. Warto więc zapoznać się z obszernym artykułem na temat demokracji w „Perspektywach” (nr 30) pióra prof. Jerzego Wiatra. „W dyskusjach o perspektywach demokracji socjalistycznej w naszym kraju — pisze Jerzy Wiatr — widoczne jest odradzanie się niektórych, od stuleci znanych myśli politycznych, dylematów teoretycznych. Ich podjęcie oraz poddanie spokojnej dyskusji wydaje mi się tym właściwsze, że nader często w obecnych dyskusjach przeważa emocjonalne fascynowanie się ogólnokrajowymi hasłami nad refleksyjnym stosunkiem do treści, które za tymi hasłami się kryją (...) Podejmuję tę dyskusję na gruncie uznania tezy podstawowej, że tylko demokracja socjalistyczna stanowić może formę państwa odpowiadającą interesom, aspiracjom i woli naszego narodu, że socjalizm w Polsce można skutecznie budować tylko na gruncie zdecydowanego uznania zasad demokratycznej organizacji państwa”.

Historyków, i nie tylko, zainteresuje rozmowa „Literatury” (nr 30) o historii, przeprowadzona z rektorem UW, prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego, prof. dr. Henrykiem Samsonowiczem. Na pytanie, czy historycy wnoszą cokolwiek do współczesności, czy służą jej, profesor odpowiada: „Poczynając od mistrza Wicentego, który odegrał wielką rolę jako ekspert polityczny, poprzez Długosza, który w gruncie rzeczy uzasadniał ideologię ówczesnego państwa polskiego, dworu królewskiego, do poczynających, do dnia dzisiejszego historycy służą swoją ekspercją. Ostatnie miesiące dowiodły, że historycy wychodzą poza własny gabinet i są dosyć czynni we współczesności. Natomiast — przyznaję, że zły czy średni historyk, który zaczyna zajmować się teraz niebezpiecznością — czy przyszłością, jest niebezpieczny”.

MAR

SPOTKANIE ZE SZTUKĄ



Fot. K. Wojciewski

JAK NAWIĄZAĆ KONTAKT

Wiedza naszego społeczeństwa o własnej sztuce współczesnej, a konkretnie o tzw. sztukach pięknych — jest nader niska, jeśli nie żadna. Sądzić można, że nawet twórczość od dawna już funkcjonujących artystów, jak np. Tchórzewski, Stążewski, Musiałowicz, Sienicki, Gierowski, Starowiejski, Zemla, Karny, Kucz, Hasior czy Abakanowicz — jest na ogół bardzo słabo znana. A cóż dopiero mówić o znajomości sztuki średniego i młodego pokolenia naszych twórców. Choć jest wśród nich wiele wybitnych indywidualności, ich dorobek właściwie nie funkcjonuje w świadomości społecznej. Przynajmniej tak, jak by na to zasługiwał.

Przyczyn tego stanu rzeczy jest wiele. Wskazuje się to na zły, wręcz szkodliwy dla rozwoju życia artystycznego mecenat państwowy, na jakąś działalność upowszechniającą, na brak popularnych wydawnictw, albumów i artykułów w prasie, to wini się krytykę, że wmusiła publiczności, iż sztuka współczesna jest trudna, nieczytelna, to ją samą — sztukę — obwinia się o utratę odbiorcy z powodu niekomunikatywności. Inni jeszcze za winowajcę mają szkołę, która niewiele robi — na co niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę — dla wychowania wrażliwego odbiorcy sztuki. W tym wszystkim jest dużo racji. Ale kto zmieni ten stan rzeczy?

Na pewno nie sam Ruch Artystyczny „Świat”, który półtora roku temu powstał w Warszawie, z inicjatyw artystów-malarzy średniego pokolenia. Niemniej ruch ten założył sobie między innymi ambitną działalność na rzecz rozbudzenia i uwróżliwienia odbiorcy sztuki współczesnej.

W krótkim czasie, bo poczynając od maja ubiegłego roku, zorganizował w kraju cztery akcje-wystawy, połączone z publicznymi dyskusjami, na których zaprezentował ponad 30 wybitnych malarzy z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Łodzi, Katowic, Gdańska i innych ośrodków. Ostatnia — IV Akcja „Świat” (po Warszawie i Krakowie) odbyła się w kwietniu na Śródmiejskim Wybrzeżu, obejmując Słupsk i Sławno. Skąd taki skok z wielkich ośrodków kultury na prowincję? Ano, ruch zamierza działać wszędzie, gdzie to możliwe i sensowne, chcąc przekraczać wszelkie nienaturalne bariery, podziały, izolacje środowiskowe, kulturowe. Jeśli jeszcze ktoś spoza ruchu wyjdzie naprzeciw tym zamierzeniom, wtedy większa będzie szansa na pozytywny rezultat.

W tym przypadku naprzeciw wyszło Słupskie Biuro Wystaw Artystycznych, którego dyrektorka — obejrzawszy rok temu w Warszawie pierwszą wystawę ruchu (po 5 obrazów, 14 autorów) — z miejsca postanowiła pokazać ją własnej publiczności. Ponieważ jednak „Świat” nie chce powtarzać się w pomysłach, więc w słupskiej „Baszcie Czarownic” — uroczej galerii powstałej dzięki adaptacji średniowiecznej budowli — zaistniała całkiem nowa sytuacja artystyczna.

32 malarzy zaprezentowało tam po jednym swoim obrazie stanowiącym „wizytówkę” indywidualnych poszukiwań twórczych. Było wśród nich trzech autorów miejscowych, ze Słupska i Lęborka, którym sami inicjatorzy ruchu „Świat” zaproponowali tę wspólną konfrontację. To właśnie jedno ze świadomych — zupełnie nowych w kraju — poczyną ruchu, mających na celu przełamywanie izolacji między różnymi środowiskami. Gdziekolwiek pojawi się „Świat”, tam włączyć będzie do swych działań miejscowych twórców. Nie tylko zresztą z dziedziny sztuk pięknych.

Skróćmy — siłą rzeczy — traktując informację o tej wystawie, trzeba przede wszystkim podkreślić, iż mimo skupienia

na niej wielu bardzo odmiennych indywidualności, okazała się ona spójną, jednorodną manifestacją artystyczną, co zaskoczyło nawet samych organizatorów. Ale nie było to takie przypadkowe, jako że ruch skupia twórców nieobojętnych na sprawy otaczającego ich świata, twórców komentujących rzeczywistość.

Tak więc słupska publiczność obejrzała grupę najciekawszych dziś w Polsce przedstawicieli malarstwa metaforycznego, dla których głównym tematem jest uwikłany egzystencjalnie i metafizycznie człowiek. (F. Maśluszczak, Geno Małkowski, Lech Okołów, W. Masznic, P. Bogusławski, J. Rylke, K. Wiczorek, B. Szubińska, R. Strent, W. Dawidowicz, F. Chachaj, M. Kepiński, J. Przybył, K. Grzesiak, K. Pomagalski, J. Fabich, M. Niziurski, J. Sowiński). Obejrzała nowe, oryginalne poszukiwania bliskie tendencji abstrakcyjnej, ale jednocześnie nie pozbawione nastroju, emocji, a nawet kontekstu egzystencjalnego — biologicznego, społecznego (A. Gieraga, A. Jachtoma, Cz. Tumielewicz, M. Zieliński). Zrozumiały, czytelny przekaz stanowiły wreszcie dla niej obrazy z kręgu nowej figuracji i pogranicza fotorealizmu, z dominującą w nich wizją człowieka jednostkowego i zbiorowego (S. Baturch, M. Sapetto, W. Szamborski, T. Miszkin, A. Fałat, A. Konwerski, A. Olszewski, W. Lubos).

Ale „Świat” nie poprzestaje na samej prezentacji obrazów. Próbuje także dotrzeć do widza poprzez różnego typu „interwencje”. W Słupsku więc, obok wystawy głównej, odbył się w innym miejscu (MPiK) pokaz rysunków tych samych autorów, który zakończony został aukcją. Osmieciła miała widzów świadomie zainicjowana cena wyjściowa za prace (100 zł), niemniej niektóre rysunki szły za kilka tysięcy złotych. W sumie zostało ich 70 w domach słupskich, stanowiąc trwały ślad działań ruchu „Świat”. Dalsza część akcji odbyła się w Sławnie, dokąd powędrowała główna wystawa z „Baszty Czarownic”. I w tym właśnie miasteczku doszło do jednego z najciekawszych — zdaniem członków ruchu — zdarzeń, jakim było spotkanie z młodzieżą szkolną. Miało ono miejsce w galerii domu kultury bezpośrednio wśród obrazów, a uczestniczyła w nim duża grupa młodych odbiorców z liceum ogólnokształcącego, zaś ze strony ruchu — jeden malarz i jeden teoretyk.

„Początkowo ci młodzi ludzie — mówił ów malarz Geno Małkowski — zachowywali się tak, jak przeciętny, na pozór niechętny sztuce współczesnej odbiorca, byli jacyś obojętni. Po chwili byłem jednak zaskoczony. Odczułem, że nawiązał się między nami kontakt, że zaczynamy się rozumieć. Wytworzyła się sytuacja, w której sam dowiadywałem się nowych rzeczy, ci ludzie podpowiadali mi wprost oczami, o czym mówić, co jest dla nich zrozumiałe, co nie, co spotyka się z uznaniem. Doszło do tego, że nawet na trudne obrazy, jak Jachtoma — gdzie tylko czerwony kolor z dyskretnie zasugerowaną formą — młodzież zaczęła emocjonalnie reagować. Napiecie, ogromne zainteresowanie, jakie się wytworzyło, to widok napawający otuchą”.

Bez wątpienia sztuka współczesna — wbrew rozpowszechnionej opinii — zdolna jest budzić żywe emocje i zainteresowanie u szerokiej publiczności. Stwarzać jednak trzeba ku temu odpowiednie warunki, różne konkretne sytuacje społeczno-artystyczne, które by wyzwalały autentyczne emocje, napięcia, bez czego nie może być mowy o prawdziwym kontakcie ze sztuką.

HUGON BUKOWSKI